UMCS LUBLIN
Egzemplarz obowiązkowy

Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 16.VIII.1970 Nr 17 (450) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Tragedia - szansą miasta

Al. Leszek Gzella

OGŁOSZONO alarm dla Sandomierza. W prasie, radiu i telewizji pojawiły się informacje, artykuły i sudycje na temat grożącego miastu niebezpieczeństwa. Woda zaczęła podmywać piwnice i lochy, obsuwały się skarpy, na murach domów i przybudówek pojawiły się pęknięcia. Słowem — stan katastrofalny.

Wiadomości z Sandomierza do głębi poruszyły opinię publiczną. Jak to się stało? Czy to możliwe, żeby tak niespodziewanie miastu zagrażała woda? Przecież przez tyle lat wody spływały po powierzchni wzgórza, wsączały się w jego wnętrze i nic nikomu nie groziło, aż tu raptem... Zaskoczenie było tym większe, że alarm wybuchł właściwie w trakcie robót konserwatorskich, prowadzonych przez specjalistów na Starym Mieście.

Tragedii, która zagroziła Sandomierzowi w 1967 r., nikt nie przewidywał. Kiedy ogłoszono stan wyjątkowy dla miasta, kto tylko mógł spieszył z pomocą. Tę pomoc okazywali nie tylko dawni mieszkańcy Sandomierza, których los rzucił w inne strony kraju. Ofiarowywali ją wszyscy, którym los sandomierskich zabytków był drogi. To nie są gołosłowne frazesy.

Dokończenie na str. 3

Pan na ruinach

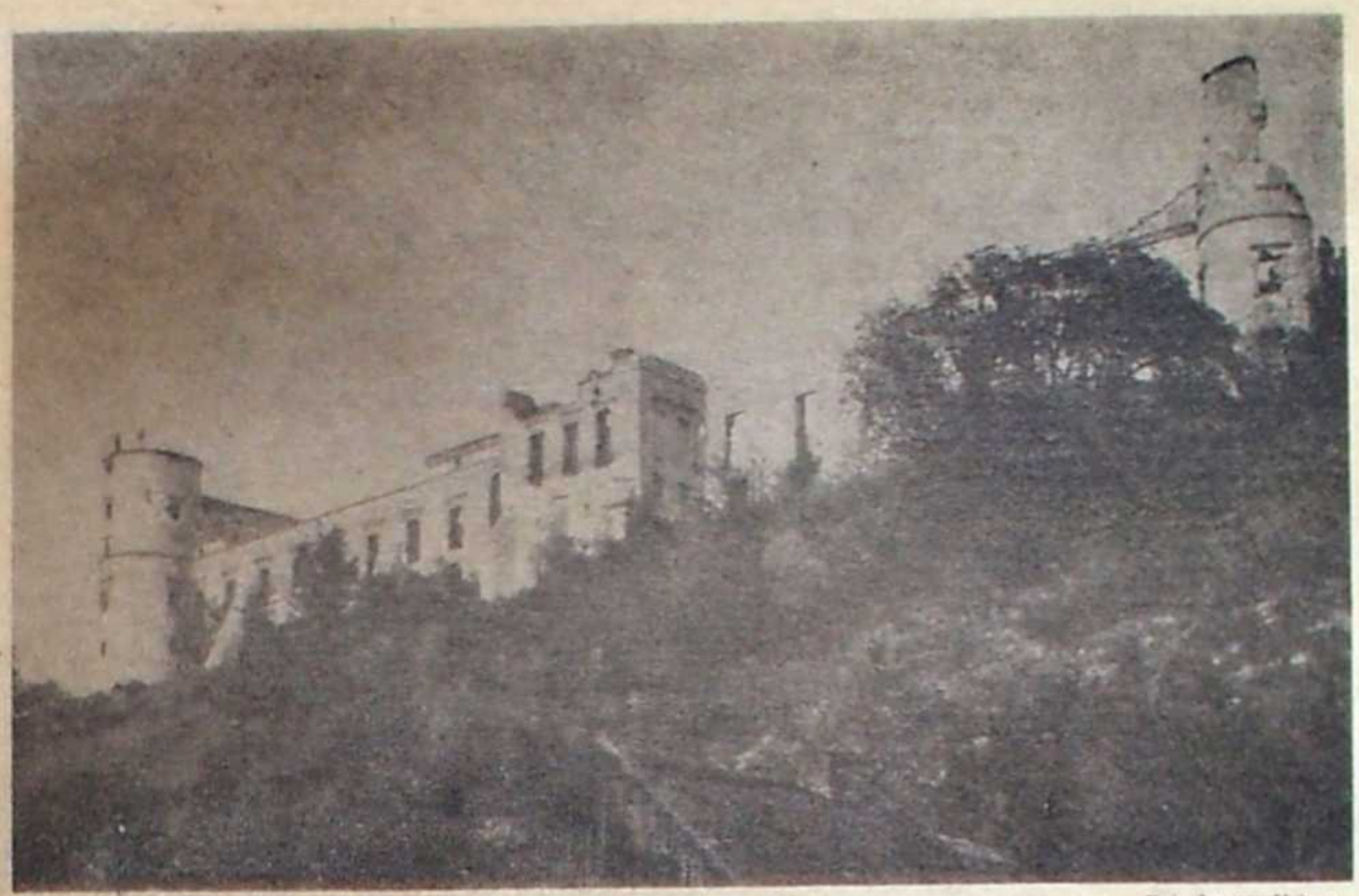

Janowiec, zamek — Fot. Janusz Urban

Mirosław Derecki

DZIKI bez i pokrzywy, berberysy i głogi, caprifolium i winna latorośl pnące się po murach zarastają z dniem każdym „dziedzictwo" pana Kozłowskiego. „Uwaga, mury zagrożone. Nie zbliżać się" — głoszą napisy na tabliczkach ustawionych wokół dziedzińca zamku w Janowcu. W zielonym gąszczu pokrywającym ogromne, wapienne głazy, czyhają na turystów niebezpieczne zasadzki: nagle pod nogami zarywają się stropy zapomnianych lochów, pęka łuk nad wejściem do nieistniejącej już komnaty, ze szczytu samotnej ściany toczą się w dół kamienie.

Z roku na rok coraz więcej ostrzegawczych napisów. Mury wytrzymały wprawdzie huraganowy ogień artylerii podczas forsowania tego odcinka Wisły przez wojska radzieckie, ale okazały się bezsilne wobec deszczu, lodu i wiatru. I choć dawni budowniczowie, wznosząc okazałą budowlę na chwałę Firlejów, Tarłów, Lubomirskich, kładli między kamienie „wieczystą" zaprawę z domieszką kurzego białka, koziego mleka i padliny — czas i przyroda zamieniają powoli, systematycznie, wspaniały niegdyś zamek, w stertę gruzu. Gdy nie starcza ostrzegawczych napisów, ostatni wiekowy władca tej posiadłości otacza mury sznurami, na których kołyszą się skrawki czerwonej materii. Kiedy od strony Wisły przebiegnie przez otwory okienne silniejszy podmuch wiatru, czerwony materiał skręca się i furkocze. Tak chronią rolnicy swoje pola przed inwazją ptactwa. Tak pan Kozłowski chroni turystów przed swoimi murami.

*

Kilka lat temu zwiedzałem gdańską katedrę. Wśród wspaniałego gotyku, w jednej z bocznych naw, zorganizowano wystawę: „Nasi ojcowie na dalekich misjach". Na nieudolnie wykonanych planszach widniały dziesiątki fotografii zakonników w wielkich, futrzanych kapturach albo w tropikalnych hełmach, stojących — stosownie do scenerii — w otoczeniu Murzynów lub Eskimosów. Z przybladłych, amatorskich zdjęć spoglądały na zwiedzających oczy Polaków, którzy w pogoni za szlachetnym celem bezwiednie zabrnęli na margines epoki.

Przeglądając później książkę pamiątkową wystawy, natrafiłem na dłuższą wypowiedź. Charakter pisma był staranny, staroświecki, pełen dostojnych zakrętasów. Podpis brzmiał: „Leon Kozłowski, właściciel ostatniego prywatnego zamku w Polsce, w Janowcu nad Wisłą". Odniosłem wówczas wrażenie, że w obydwóch przypadkach otarłem się o wielkie ludzkie ambicje, dzisiejsze — choć nie ze współczesnego już świata. Przed oczyma stanął mi upalny letni dzień spędzony kiedyś na janowieckim wzgórzu i wkomponowana w tło zamku postać starszego pana z siwym wąsem, w bryczesach wpuszczonych w podniszczone, żółte sztylpy. Dwaj przygodni turyści, chłopi w czarnych, przykurzonych garniturkach, którzy zabłądzili na teren zamku po niedzielnej sumie w farze, mówili z szacunkiem „proszę księcia". A on nie zaprzeczał.

*

Opisując burzliwe dzieje janowieckiego zamku, koleje jego upadku i tragiczną sytuację, w jakiej znajdują się dzisiaj zabytkowe mury, autorzy z lubością cytują zdanie, że nad losem tej budowli ciąży jakieś okrutne fatum, jakaś zemsta losu za zbrodnie i bezeceństwa popełnione tutaj przed wiekami. Gdyby tak było naprawdę, z londyńskiego Tower, którego niemal każda cegła ocieka krwią, nie powinien już zostać kamień na kamieniu.

Nieszczęśliwe losy janowieckiego zamku wypływają z czegoś zupełnie innego: z wygórowanych ludzkich ambicji. Prawie od początku swego istnienia zamek w Janowcu był budowlą „na wyrost". Już jego za-

Dokończenie na str. 4—5

Kolorowa gazeta

Wiktor Bazylewski

W TYDZIEŃ po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej ukazały się w Lublinie dwa dzienniki: „Gazeta Lubelska" i „Rzeczpospolita" która zdążyła dotrzeć do Lublina marszem zmotoryzowanym w czwartek, 3 sierpnia 1944, akurat w tym czasie, gdy na ulicach miasta topniał pierwszy numer „Gazety Lubelskiej". Nazajutrz, czyli w piątek, ukazał się jednocześnie z drugim numerem „Gazety Lubelskiej" drugi numer „Rzeczypospolitej" już w postaci regularnego dziennika, bo w dwustronicowym numerze pierwszym, drukowanym z datą 22 lipca 1944 w Chełmie, jedynym tekstem był Manifest PKWN. Charakter gazetowy temu drukowi nadawał tytuł „Rzeczpospolita" u góry strony pierwszej nad Manifestem i „stopka" redakcyjna u dołu strony drugiej, pod Manifestem.

„Rzeczpospolita" nie miała kłopotów z wydawcą, gdyż był nim „sam" PKWN, którego organem gazeta mianowała się w podtytule. Jej redakcja ulokowała się w głównej, środkowej części budynku przy Krakowskim Przedmieściu 62. Na piętrze usadowiła się redakcja, a na parterze, w rozległym hallu, znajdowało się pomieszczenie dla administracji. Tą szturmową drużyną propagandową dowodził w randze redaktora naczelnego major Jerzy Borejsza. Do pomocy miał dwóch kapitanów polityczno-wychowawczych: Jerzego Putramenta, który funkcjonował jako sekretarz redakcji oraz Anatola Mikułkę, z tytułem pełnomocnika do nadzoru nad drukarnią. Były to najtęższe podpory pisma.

„Rzeczpospolita" czuła się w siodle mocniej niż „Gazeta Lubelska". Miała ona poniekąd prawo pierwokupu informacji urzędowych z pierwszej ręki, wiążących, które w czasach tak gorących jak latem 1944 szczególnie interesowały ludzi żądnych wiadomości. Fachowcy z nerwem dziennikarskim umieli szlifować te informacje na brylanty aktualności. W każdym numerze znajdowały się majstersztyki kunsztu redaktorskiego. Borejsza był korespondentem wojennym podczas guerilli domowej w Hiszpanii i umiał wyjść na spotkanie czytelnikom. Do Lublina napłynęły wieści o Warszawie. Numer 3 „Rzeczypospolitej" przyniósł w sobotę, 5 sierpnia, artykuł wstępny z takim zakończeniem:

Bohaterskiej Warszawie, dumnej stolicy kraju, niesie pomoc żołnierz polski ramię przy ramieniu z sojuszniczą Czerwoną Armią. Tej Warszawie, którą uwieczniła pieśń jej imieniem nazwana:

Marsz, marsz, Warszawo,
Na walkę krwawą,
Świętą a prawą,
Marsz, marsz, Warszawo!

Z milona serc polskich, z tysięcy serc żołnierskich wyrywa się jeden okrzyk ku Warszawie:

Warszawo, wytrwaj w walce!
Spieszymy z pomocą!

Ludzie rozchwytywali pismo z patriotycznym orędziem. Budziło ono nadzieję. Egzemplarze gazety przechodziły z rąk do rąk, a słowo Warszawa z ust do ust.

Przybycie „Rzeczypospolitej" uświetniło Lublin, który zyskał jeszcze jeden dziennik, ale zmniejszyło pozycję „Gazety Lubelskiej", bo straciła monopol jedynego w mieście pisma, a niektórzy reprezentanci urzędowej redakcji starali się uplasować ją w cieniu swej wielkości. W grę wchodziły nie tylko względy prestiżowe. Antagonistycznych nastrojów wobec sąsiedniej gazety nie objawiał szef „Rzeczypospolitej", skwapliwie natomiast afiszował się nimi pełnomocnik od drukarni. Mocodawca i pełnomocnik to nie byli dwaj inni ludzie, lecz dwa bieguny. Jerzy Borejsza, o elektrycznej błyskotliwości myśli, władał skarbem droższym nad złoto i brylanty: fenomenal-

Dokończenie na str. 6

Pompowanie pisarzy

Przyczynek do dyskusji w „Kulturze"

Maciej Podgórski

NIEDAWNO przyszedł do mnie pewien młody człowiek. Pewien młody człowiek — przemawiam jak w abstrakcyjnej przypowiastce moralistycznej. Ale chłopak był realny i w dodatku żonaty, a więc był realny w dwójnasób. Student polonistyki. Pokazał wiersze, które znajdowały się na przyjętej w czasopismach społeczno-kulturalnych granicy „publikowalności". Czy i kiedy je wydrukujemy? A bo ja wiem — odpowiedziałem mi się zgodnie z prawdą. Jakie ma szanse „zrobienia nazwiska" początkujący poeta? — westchnął raczej niż zapytał na odchodnym.

Właśnie, jakie ma szanse? Pozornie małe. Zapas wierszy zakwalifikowanych do publikacji w „Kamenie" sięga mniej więcej roku. Wszystkim to powtarzam, bo to jest prawda. W innych czasopismach podobnie, albo i jeszcze weselej. Podczas zjazdów i spotkań młodych pisarzy słychać nieustanne skargi na brak odrębnej trybuny dla młodzieży trudniącej się literaturą — brak własnego pisma. Redaktorzy istniejących czasopism mają jakieś dziwne gusta, nie rozumieją i dyskryminują młodych — rzekomo.

Trudno więc w Polsce zostać młodym poetą, miano pisarza zyskać? Ejże! Mój młodzian był po prostu za mało obrotny. Pilne starania należy rozpocząć jeszcze w ostatnich klasach szkoły średniej. Polonista miejscowy, którego wiedza o współczesnej literaturze jest ogólnie znana, pomoże nam wydatnie. Kółko twórczości własnej zorganizuje, jakiś konkursik jeden czy

Dokończenie na str. 4

Rys. W. Fuglewicz

teatrnn.pl

Kultura 1970

Literatura

* Wydawnictwo „Śląsk" wydało książkę pt. „Malowane róże", zawierającą wybór łużyckiej poezji ludowej, dokonany przez Józefa Baranowicza.

* Z ponad 40 pozycji książkowych Jana Dobraczyńskiego większość została przetłumaczona na różne języki, a wydano je w 13 krajach.

* „Wyspy nad otchłanią" — to tytuł nowej powieści Hemingwaya, która będzie opublikowana jesienią na podstawie pozostawionego przez autora rękopisu.

Teatr

* Zygmunt Stoberski pisze dla teatru telewizyjnego współczesną sztukę o tematyce obyczajowej, a tłumaczy sztukę jugosłowiańskiego dramaturga Svety Lukicia „Na dzień pożaru". Kończy też adaptację sceniczną powieści szwedzkiej pisarki Astrid Lindgren „Carlsson z dachu".

* Od nowego sezonu w warszawskim Teatrze Ludowym będą występowali m. in. Hanka Bielicka, Edward Dziewoński i Wojciech Siemion. Jesienią teatr wystawi musical Ireneusza Iredyńskiego i Aliny Piechowskiej „Codzienna magia" o tematyce współczesnej.

* „Co po „Epilogu"? Myślę o widowisku telewizyjnym według własnego scenariusza, w którym zajmę się zjawiskiem sztuki aktorskiej, problemem transformacji człowieka, który bez względu na przeżycia, stany psychiczne, codziennie przeistacza się na scenie. Będzie to biografia jednego z wielkich aktorów... Chciałbym także zrealizować film o księciu Józefie Poniatowskim" — powiedział po otrzymaniu nagrody państwowej Jerzy Antczak.

* W Teatro Romano w Weronie w ramach międzynarodowego festiwalu teatralnego wystąpił zespół wrocławskiej „Pantomimy" H. Tomaszewskiego, dodatkowy spektakl odbył się w Turynie.

Muzyka

* Na X festiwal w Sopocie zgłosiło się aż 210 piosenkarzy z 40 krajów. Polskę reprezentować będą na różnych koncertach: Maryla Rodowicz, Halina Kunicka, Anna German, Ewa Demarczyk i zespół NO TO CO. Przyjedzie również Conchita Bautista — ale jako członek jury, co nie przeszkadza, że nadprogramowo może także wystąpić jako piosenkarka.

* We wrześniu ukaże się na płytach III Symfonia Tadeusza Bairda, laureata tegorocznej nagrody państwowej I stopnia. Kompozytor kończy obecnie utwór, zamówiony przez Filharmonię Sztokholmską następne zamówienia otrzymał z Rotterdamu, Drezna i Kopenhagi. W perspektywie pełnospektaklowa opera wespół z Janem Krenzem.

* Andrzej Jarecki ukończył musical „Karuzela" (muzyka Tadeusza Kierskiego), którego akcja toczy się w Wiedniu, a dla teatru STS pisze sztukę satyryczną o losach polskiego wynalazcy.

* W Polsce przebywał chór chłopięcy z Filadelfii, występując na zakończenie pobytu w Poznaniu.

* Chór Stuligrosza w tym roku po raz trzeci wyjeżdża do Szwecji, a w przyszłym do Libanu. Chór liczy obecnie 87 członków, w tym 30 dorosłych. Ostatnio z 80 kandydatów przyjęto 18.

* Południowoafrykańskie towarzystwo radiowe SABC wykluczyło z konkursu czterech pianistów Murzynów, ponieważ „każda rasa ma działać w obrębie własnej kultury". Na konkursie miano grać Beethovena.

* Od 35 lat najsłynniejszą piosenkarką egipską jest 68-letnia dziś Um Kalthum. Nigdy nie odstępuje od tradycyjnej pieśni arabskiej, tyle że jako pierwsza w ZRA zaczęła występować z towarzyszeniem całej orkiestry a nie 3—4 instrumentów. Jej recitale radiowe trwają najczęściej 5 godzin, a ludzie słuchają zafascynowani. Jej głos jest nazywany „skarbem Allaha". Przed kilkunastu laty przeszła izotopową kurację tarczycy.

* Kompozytor amerykański, Alan Hovhaness, jest autorem utworu symfonicznego „I Bóg stworzył wielkie wieloryby", w którym całość kompozycyjna podporządkowana jest partii solowej w wykonaniu „chóru" wielorybów z gatunku waleni. Podobno prawykonanie zrobiło wielkie wrażenie na słuchaczach. Partie solowe „wielorybów" były wykonane na tle nadawanych z taśm magnetofonowych szumu fal morskich i dźwięków cymbałów oraz gongów.

Sztuka

* Po pięciu latach żmudnej pracy oddano do użytku zwiedzających wielki refektarz w zamku malborskim. Urządzono tam wystawę broni z dawnych wieków.

* Tegoroczny laureat nagrody państwowej II stopnia plastyk Juliusz Studnicki zapytany, jaka jest rola sztuki, odpowiedział: „Wydaje mi się — służenie człowiekowi, dostarczanie mu rozrywki, odprężenia, a także inspirowanie przemyśleń własnych".

* W końcu sierpnia zakończy się w Szczecinie ogólnopolski festiwal współczesnego malarstwa polskiego. Na festiwal nadesłano ponad tysiąc prac, eksponuje się 230, przeważnie dzieła młodych plastyków.

* Zakończono prace zabezpieczające w zamku „Krzyżtopór" w Ujeździe pow. Opatów, zniszczonym jeszcze w czasie wojen szwedzkich. Zamek ten, zbudowany przez Krzysztofa Opalińskiego przed 330 laty, posiada 4 wieże, 12 sal, 52 pokoje i 365 okien — co odpowiada porom roku, miesiącom, tygodniom i dniom.

* Kopalnia pirytu „Staszic" w Rudkach pod Kielcami zaprzestaje produkcji, jednak 200 m pod ziemią zostaną zachowane wszystkie urządzenia jako Muzeum Górnictwa i Obróbki Górniczej.

* W Muzeum Feliksa Nowowiejskiego w Barczewie pod Olsztynem raz w tygodniu nadaje się z taśm magnetofonowych koncerty utworów, skomponowanych przez Nowowiejskiego.

* Na Węgrzech znajduje się około 5 tysięcy różnych pomników, na których ochronę i konserwację, państwo wydaje rocznie 100 mln forintów.

* Muzeum w Kairze eksponuje około 150 tys. przedmiotów starożytnego Egiptu, dwa razy tyle eksponatów czeka w magazynach na opracowanie. Z jednego tylko grobowca Tutenchamona pochodzi 1700 zabytków, w tym słynna maska pogrzebowa ze złota.

* We wschodniej części Turcji odkopano ruiny starożytnej twierdzy, wzniesionej tysiąc lat temu w państwie Urartu. Obok murów pałacu i świątyń znaleziono magazyn ówczesnej broni.

Film

* „Dziura w ziemi" reżyserii Andrzeja Kondratiuka zdobyła nagrodę specjalną jury XVII Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Karlovych Varach. Wielką nagrodę „Kryształowy Globus" przyznano filmowi angielskiemu „Kes" reż. Kena Loacha.

* Kazimierz Kutz ma już gotowy scenariusz filmu, który będzie jakby repliką czy kontynuacją „Soli ziemi czarnej", za którą otrzymał nagrodę państwową. Mówiąc o współczesnym filmie polskim reżyser powiedział: „Niestety, nadal nie widzę zdecydowanego poparcia dla tematyki współczesnej. To, co powstaje, jest ciągle za grzeczne, anemiczne, a wydaje się, że istnieją sprzyjające okoliczności i czas, aby nastąpił zdecydowany przełom".

* Jan Kreczmar wystąpi w dwóch filmach. W „Życiu rodzinnym" według scenariusza Krzysztofa Zanussiego będzie ojcem Daniela Olbrychskiego. Ten ostatni był uczniem Kreczmara.

* Znany reżyser francuski, Claude Chabrol, twierdzi, że w dziedzinie erotyki na ekranie nikt nie prześcignął... „Królewny Śnieżki" Disneya. Przecież — wyjaśnia — bohaterką jest panienka, która mieszka z 7 nienormalnymi indywiduami i nietrudno sobie wyobrazić, co może nastąpić w takiej sytuacji...

* A jak doniosła prasa francuska, największy ostatnio sukces kasowy w tym kraju odniósł film „Arka" nakręcony w Hongkongu, w którym „najśmielszym fragmentem jest scena, w której mężczyzna dotyka ręki swej ukochanej".

* Jak się okazuje po 7 latach — „Kleopatra", najdroższy film świata (kosztował 50 mln dolarów), jak dotychczas przyniósł wpływy w wysokości zaledwie 26 mln dolarów.

Różne

* W Polsce przebywała delegacja kulturalna Meksyku z ministrem oświaty i kultury tego kraju, Augustinem Yanczem na czele.

* Polski Komitet do spraw UNESCO oraz Uniwersytet Jagielloński zorganizowały w Krakowie kurs o kulturze polskiej dla 60 nauczycieli szkół polskich, działających w różnych krajach.

* Jak się okazuje, Jaćwingowie byli doskonałymi hodowcami koni leśnych — tarpanów. Prawdopodobnie liczba posiadanych koni była miernikiem bogactwa i znaczenia.

* Amerykański przemysłowiec polskiego pochodzenia, E. Piszek z Filadelfii, wykupił z rąk prywatnych stary statek morski „Otago", na którym pływał Józef Conrad Korzeniowski, aby go zabezpieczyć przed zniszczeniem, a także dom w Filadelfii, w którym swego czasu mieszkał Kościuszko i urządził tam muzeum pamiątek po Naczelniku.

* We włoskim mieście Novara koło Mediolanu powstaje pierwsze w świecie muzeum — kominiarstwa. Przed gmachem muzeum stanie rzeźba z czarnego marmuru — posąg kominiarza w cylindrze ze zwojem drutu na ramieniu.

* Zdaniem archeologów australijskich i nowozelandzkich pierwsi ludzie przybyli do Australii, Nowej Gwinei i na wyspy Melanezji około 20 tys. lat temu. Następna migracja miała miejsce dopiero 5 tys. lat temu.

* W Szwecji i Norwegii znany jest taniec „polska", stanowiący połączenie poloneza z mazurkiem, a także tańce ludowe pod nazwą „pols". W Finlandii zaś istnieje taniec pod nazwą „prinsenspolska".

* W połowie lipca ze słynnego klasztoru benedyktynów w Tyńcu skradziono dwa obrazy z XVII wieku. Po kilku dniach milicja odnalazła oba nie uszkodzone obrazy. Złodziejami okazali się dwaj uczniowie z Krakowa.

Zdaniem paryskiego tygodnika „Cinemonde" dzięki tej dziewczynie Jean-Pierre Mocky w filmie „Solo" rzekomo „odnalazł sens życia". Patrząc na fotografię panny Sylvie Breal — można to zrozumieć...

Kamena str. 2

POCZDAM

Z brulionu lektora

ZWYCIĘSTWO Polski w Poczdamie — pod takim tytułem ukazał się 5 sierpnia 1945 roku w centralnym organie PPR, „Głosie Ludu", artykuł Władysława Gomułki. W Poczdamie — pisał sekretarz generalny PPR — w zacisznym osiedlu odpoczynkowym niemieckich zbrodniarzy, sąsiadującym z gruzami Berlina, dokonał się akt wielkiej wagi historycznej i sprawiedliwości dziejowej. Największe mocarstwa świata zaakceptowały powrót Polski na prastare ziemie piastowskie. (...) Decyzja poczdamska jest owocem polityki, którą zainicjował obóz demokracji polskiej na czele z Polską Partią Robotniczą jeszcze w okresie okupacji i którą konsekwentnie kontynuowały wszystkie władze państwowe odrodzonej Polski, na czele z Krajową Radą Radą Narodową. Odrodzona demokracja polska prowadziła politykę państwową, politykę interesów narodowych Polski, wykazała swoją dalekowzroczność polityczną. Jej zasługą jest ustalenie naszych granic zachodnich nad Odrą i Nysą Łużycką. Reakcja polska i jej rządy emigracyjne prowadziły tylko politykę zdobycia władzy dla siebie, bez względu na interes państwa i narodu, wykazały całkowitą ślepotę polityczną, która w swych skutkach mogła być dla Polski tragiczna. Decyzje konferencji poczdamskiej oznaczają klęskę polityki polskiej reakcji, wbijają gwóźdź do trumny różnych Raczkiewiczów i Kwapińskich. Zwycięstwo Polski, zawarte w uchwałach konferencji poczdamskiej, jest więc równocześnie zwycięstwem polityki obozu demokratycznego, polityki PKWN, Rządu Tymczasowego i Rządu Jedności Narodowej. Jest to również wielkie zwycięstwo linii politycznej naszej partii, która na czoło swojej walki o wyzwolenie i odrodzenie Polski pierwsza wysunęła hasło ustalenia granic zachodnich Polski nad Odrą i Nysą Łużycką.

Fot.: CAF

Minęło ćwierć wieku od chwili, gdy Władysław Gomułka pisał te słowa. Ziemie Zachodnie i Północne stały się integralną częścią Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a granica na Odrze i Nysie Łużyckiej — granicą przyjaźni i pokoju między Polską a młodym, nowym państwem — Niemiecką Republiką Demokratyczną. I za Łabą, w drugim państwie niemieckim, Niemieckiej Republice Federalnej — choć może ciągle zbyt powoli — poczucie realizmu zaczyna dochodzić do głosu. Uznanie przez Niemiecką Republikę Federalną zachodniej granicy polskiej za ostateczną służyłoby sprawie pokoju w Europie, stanowiłoby jeden z warunków umocnienie bezpieczeństwa, wytrąciłoby broń z ręki odwetowców, którzy nie chcą się pogodzić z klęską III Rzeszy hitlerowskiej.

Powróćmy jednak do historycznych dni poczdamskich. Sprawa polskich granic zachodnich była przedmiotem ostrej wymiany poglądów. Delegacja polska miała mocne oparcie w delegacji radzieckiej, która z całą konsekwencją popierała stanowisko Rządu Jedności Narodu.

Przeciwko granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej szczególnie oponował premier brytyjski, Churchill. *Posiadanie takiego terytorium* — mówił — *nie wyjdzie Polsce na korzyść. Doprowadzi to do podkopania sytuacji gospodarczej Niemiec i obciąży mocarstwa okupacyjne zbyt wielkim ciężarem w dziedzinie zaopatrzenia zachodniej części Niemiec w żywność i opał. Ponadto mamy pewne wątpliwości natury moralnej odnośnie tego, czy jest pożądane tak wielkie przesiedlenie ludności...*

Brytyjski przywódca, jak wynika z tej wypowiedzi, bynajmniej nie troszczył się o los Niemiec, ale o własne interesy. Churchill usiłował też powiązać sprawę granic z sytuacją wewnętrzną w Polsce, pouczał, jak mają przebiegać w naszym kraju wybory...

Tymczasem wybory odbywały się w Wielkiej Brytanii. Zakończyły się one sensacyjnym zwycięstwem Partii Pracy. Churchilla zastąpił Attlee.

Ostatecznie sprawę zachodnich granic polskich jasno sprecyzował prawnie IX rozdział Układu Poczdamskiego. Czytamy w nim m. in.: *„Byłe niemieckie terytoria na wschód od linii biegnącej od Morza Bałtyckiego, bezpośrednio na zachód od Świnoujścia i stąd wzdłuż rzeki Odry do miejsca, gdzie wpada Zachodnia Nysa i wzdłuż Zachodniej Nysy do granicy czechosłowackiej, włączając w to część Prus Wschodnich, która zgodnie z porozumieniem osiągniętym na niniejszej konferencji nie została oddana pod administrację Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, i włączając obszar byłego Wolnego Miasta Gdańska, powinny znajdować się pod zarządem państwa polskiego i pod tym względem nie powinny być uważane za część radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec.*

IX rozdział wyraźnie mówi o byłych niemieckich terytoriach. Sformułowanie to ma kapitalne znaczenie, bo rewizjoniści niemieccy powołują się na inny fragment uchwał poczdamskich, w których jest mowa o tym, że z ostateczną delimitacją zachodniej granicy polskiej należy zaczekać do konferencji pokojowej. Ale rację ma autor głośnej książki pt. „Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie 1939 — 1945", Włodzimierz T. Kowalski, który stwierdza, że *zgodnie ze stanowiskiem trzech wielkich mocarstw, rola konferencji pokojowej sprowadzać się miała wyłącznie do „zatwierdzenia" lub też „ratyfikacji" osiągniętych porozumień, bez ich merytorycznego podważania.* Wyraźnie to zresztą podkreślił ówczesny minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Bevin, w czasie rozmowy z przedstawicielami delegacji polskiej w Poczdamie, mówiąc: *Motyka jest zawsze motyką* i uzgodnione rozwiązanie jest o s t a t e c z n e. A radziecki minister spraw zagranicznych, Mołotow, gdy na Zachodzie zaczęły rozlegać się pierwsze głosy podważające sens Poczdamu, oświadczył 16 września 1946 r.: *Komuż może przyjść do głowy, że to wysiedlenie Niemców przedsięwzięto dla czasowego eksperymentu? Ci, którzy powzięli decyzję o wysiedleniu Niemców z tych terenów, aby natychmiast mogli się tam przesiedlić Polacy z innych dzielnic Polski — ci nie mogą po jakimś czasie proponować wręcz odwrotnych zarządzeń. Nieprawdopodobna jest sama myśl o tego rodzaju eksperymentach z milionami ludzi, nie mówiąc już nawet o okrucieństwie takiego postępowania w stosunku do Polaków, jak i w stosunku do samych Niemców.*

Układ Zgorzelecki, zawarty w 1950 r. między Polską a NRD, jednym z państw niemieckich, które powstało na gruzach III Rzeszy hitlerowskiej, potwierdził fakt, że Niemiecka Republika Demokratyczna przyjęła bez zastrzeżeń odpowiedzialność za realizację postanowień Układu Poczdamskiego. *Niemieccy komuniści i demokraci Niemieckiej Republiki Demokratycznej, kładąc, przez swych przedstawicieli podpisy pod Zgorzeleckim Układem* — stwierdził premier Józef Cyrankiewicz podczas uroczystości 20-lecia tego historycznego wydarzenia — *po raz pierwszy w historii zaczęli łamać szlabany wrogości i nieufności i zasypywać głęboką przepaść wykopaną przez niemiecki niepohamowany imperializm, przez niszczycielski dla narodu polskiego i dla narodów wschodniej Europy „Drang nach Osten".*

Należy żywić nadzieję, że kontynuowane obecnie rozmowy między Polską a drugim państwem niemieckim — NRF doprowadzą do uznania i przez Niemcy zachodnie ostatecznego charakteru zachodniej granicy Polski. *Uznając granicę na Odrze i Nysie* — mówił Władysław Gomułka na centralnej akademii we Wrocławiu w 25 rocznicę zakończenia II wojny światowej — *NRF niczego się nie „wyzbywa", uznaje tylko istniejącą rzeczywistość.*

(j)

Za Bugiem

W CZERWCOWYM numerze białoruskiego miesięcznika literackiego „Połymia" rozpoczęto druk nowego poematu Arkadzia Kulaszowa „Daleko do oceanu". Poemat ten ma charakter retrospektywnego spojrzenia poety starszego pokolenia na swoje dzieciństwo.

Lidzija Arabiej w tym samym numerze drukuje ciekawe opowiadanie pt. „Węzły". Znów niedaleka przeszłość, okres okupacji hitlerowskiej, podczas której, jak pisze inny autor w tymże numerze, „co czwarty Białorusin musiał zginąć". Opowiadanie to ma charakter wspomnienia, odtwarzanego w postaci niedobrych, natrętnych snów. Pojedyncze sny trudno nieraz powiązać w jakąś jedną logiczną całość — pisze autorka — traktuje więc treść opowiadania jako sześć luźnych snów, które w sumie stanowią całość wzruszająco szczerą, pomysłową i oskarżającą faszyzm w sposób oryginalny i wyjątkowo mocny.

Zwróciliśmy też uwagę na reportaż Kastusia Kirejenki pt. „Trzy miesiące w Ameryce", napisany w czasie pobytu autora w Nowym Jorku. Kirejenka był delegatem Białoruskiej SRR na 24 sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ, w końcu 1969 roku. Teraz dzieli się ciekawymi spostrzeżeniami z sesji i życia w Ameryce, przeplatanymi politycznymi uogólnieniami, porównaniami, a nawet wspomnieniami z okresu ostatniej wojny, w której autor brał bezpośredni, czynny udział. Reportaż sugestywnie opowiada o atmosferze na sesji ONZ, o podziale wpływów, charakteryzuje pewne postaci dyplomatów. Czyta się go z dużym zainteresowaniem i korzyścią poznawczą.

Białorusini obchodzą obecnie 70-lecie urodzin jednego z najwybitniejszych pisarzy białoruskich — Kuźmy Czornego. W związku z tym „Połymia" umieszcza okolicznościowe wspomnienia i eseje. Jest to pisarz o niepowtarzalnym talencie, odszedł od nas za wcześnie w wieku 44 lat. „Jako prozaik Kuźma Czorny — czytamy w jednym z artykułów — jest wielki przez swoje wspaniałe pomysły, których nie mógł, niestety, w pełni zrealizować, przez swe rozumienie filozofii życia i czasu, przez znajomość człowieka, umiejętność zaobserwowania i pokazania najdelikatniejszych drgnięć duszy ludzkiej, a szczególnie — przez znajomość białoruskiego bytu narodowego i języka. Kuźma Czorny jest pisarzem ze wszech miar narodowym, naszym, białoruskim". Z przedstawionych materiałów wynika wyraźnie, że pisarz ten był dotychczas niedoceniany przez badaczy literatury, że czeka na pełniejszą ocenę i wnikliwszego badacza jego twórczości.

Aleksander Barszczewski umieścił w tymże numerze „Połymia" zwięzły artykuł o „Polskim dwudziestopięciolecia literackim". Wspomina o pierwszych krokach literackich w wyzwolonej Polsce Ludowej, o rozwoju prozy, poezji, dramaturgii. Ze względu na szkicowy charakter informacji wymienia się tu jedynie najważniejsze nazwiska i utwory. Taka informacja jest niewątpliwie korzystna dla czytelnika białoruskiego i dla samej kultury polskiej, popularyzowanej w ten sposób u naszych wschodnich sąsiadów zza Buga.

O dużym i żywym zainteresowaniu literaturą polską na Białorusi współczesnej świadczy również taki fakt, że w czerwcowym numerze białoruskiego czasopisma „Maładość" wydrukowane wiersze poetów polskich: S. Czernika, T. J. Koprowskiego, J. Sikiryckiego, T. Chruścielewskiego, M. J. Kenonowicza, J. Huszczy, B. Łobody oraz M. Wawrzkiewicza w tłumaczeniu białoruskim, w rubryce „Głosy polskich kolegów". Wstęp głosi: „Wielbiciele poezji na Białorusi znają wiersze współczesnych poetów polskich. Ich tłumaczenia białoruskie pojawiały się nieraz w gazetach i czasopismach republikańskich, w wydawnictwie „Dni poezji". W wydawnictwie „Biełaruś" pojawił się większy zbiór wierszy współczesnych poetów polskich. „Maładość" zapoznaje swoich czytelników z utworami poetów największego polskiego ośrodka przemysłowego — robotniczej Łodzi. Niektórzy z tych autorów są również tłumaczami białoruskiej poezji radzieckiej".

Wymiana kulturalna między Polską i Białorusią również w dziedzinie literatury pięknej rozwija się obecnie coraz aktywniej.

M. Ł.

Seans serdeczny

Tadeusz Kłak

Z NAZWISKIEM Kazimierza Andrzeja Jaworskiego kojarzy się zawsze założenie i bohaterskie wydawanie w przedwojennym Chełmie „Kameny", dzisiaj już najstarszego w Polsce pisma literackiego, pamięta się też o jego ogromnej pracy przekładowej, zwłaszcza z poezji rosyjskiej i innych narodów słowiańskich, nie zapomina się także o jego długiej i owocnej drodze poety. Lata ostatnie objawiły jeszcze jeden obszar działalności pisarskiej K. A. Jaworskiego. Mam na myśli tetralogię wspomnieniową, na którą złożyły się: „Serca za drutem", „W kręgu Kameny", „Wywoływanie cieni" oraz ostatnio wydany „Koniec seansu".

Wymienione tytuły nie odtwarzały biografii pisarza w porządku chronologicznym. Najwcześniej spisał K. A. Jaworski swoje przeżycia obozowe z Sachsenhausen, dając jeszcze jeden przejmujący dokument do dziejów człowieka w czasach pogardy, dopiero zaś po latach podjął wątek wspomnień, w opowieść o powstaniu i dziejach „Kameny"; książkę tę można by nazwać monografią wspomnieniową, ponieważ troskę o odtworzenie zawartości pisma, ukazanie kręgu współpracowników i przedstawienie jego perypetii, łączyła z bardzo osobistym podejściem do tematu.

„Wywoływanie cieni" miało dopełnić zamierzonej całości i zamknąć trylogię. Ale powrót do dzieciństwa, młodości i wczesnych lat dojrzałych wywołał takie bogactwo wspomnień, taki zasób przeżyć, iż nie dały się one opanować i ograniczyć do jednego tomu. Toteż w „Wywoływaniu cieni" wydarzenia roku 1918 stanowiły końcowe strony książki.

W tym stanie rzeczy „Koniec seansu" nie daje zwieńczenia całego cyklu wspomnieniowego, raczej scala go i stanowi jego główną oś. I chociaż zachowuje on wewnętrzną autonomię, w wielu miejscach pojawiają się autorskie odsyłacze do książek już napisanych.

Rytm książki wyznaczają jednak nie wydarzenia, które rozgrywały się przez dziesięć miesięcy każdego roku, lecz te, co mieściły się w obrębie dwumiesięcznych nauczycielskich wakacji. Wiązały się one niemal zawsze z górami. Tam K. A. Jaworski znajdował swój azyl. W wierszu pod takim właśnie tytułem pisał kiedyś:

Gdy prowincja mnie dojmie dokuczliwą plotką
i zbrzydnie znany widok nudnych twarzy tyłu,
ku jakim wtedy pomknąć mam zbawczym opłotkom,
gdzie poszukać na chwilę wiernego azylu?

Jedną z odpowiedzi znajdujemy właśnie w ostatniej książce:

Tatry. Góry mojej młodości. Góry mojej miłości. Zrazu budzące młodopolskie tęsknoty, wprowadzające w kontemplację, w „roztapianie się" w absolucie, ale wciąż kuszące do ich zdobywania. A potem najpiękniejsze lata przemierzania znanych i nie znanych szlaków, wędrówek po ścianach i graniach, nocnych biwaków, lata słońca, deszczu i burzy, lata miłości.

Kto pamięta przedwojenną twórczość poetycką K. A. Jaworskiego, nie zaskoczy go to wyznanie, wszak już w „Księżycowym mustangu" znajdowały się liczne wiersze tatrzańskie, tom „Na granitowym maszcie" był nimi całkowicie wypełniony, także w „Więcierzach" motywy górskie ujawniały się często; przeżycia i myśli związane z górami tworzyły swoistą „ideologię" Góry stanowiły wielki symbol życia ludzkiego, wskazywały kierunek drogi. Dawały tym przeświadczeniom wyraz wiersze K. A. Jaworskiego, potwierdził je „Koniec seansu", w którym autor mówi nieraz o swoim przeżywaniu gór: *Patos życia. Patos wysiłku. Patos pięcia się wzwyż. Patos niebezpieczeństwa. Patos zwycięstwa. Patos śmierci. Góry są dla mnie przede wszystkim patetyczne. Choć czasami potrafią być miękkie i kobiece.* I właśnie opisy wypraw tatrzańskich i przeżyć z tym związanych, często pełnych dramatyzmu, należą do najpiękniejszych w książce, najbardziej wzruszających. Wiele w nich znajdzie czytelnik prawdziwego liryzmu.

Nie trzeba zbyt wielkiej przenikliwości, by uświadomić sobie, jak w tych wypowiedziach pozostaje K. A. Jaworski wierny sobie, swojemu pojmowaniu życia i twórczości. Już we wczesnych wierszach, jeszcze — jak sam autor przyznaje — skamandryckich, utożsamiał on życie z poezją, ściślej: poezją było samo życie, toteż przeżywanie świata we wszystkich jego przejawach i postępach wytwarzają stan największego pobudzenia i napięcia psychicznego, a nie ślęczenie nad kartką papieru.

Nie oznacza to przecież umniejszania roli żywiołu ściśle poetyckiego. Bo — z jednej strony — *świat ocieka poezją*, ale też — z drugiej — napisze w jednym z wierszy K. A. Jaworski: *Chmiel strof namiętnych — Briusow, Verhaeren i słodki Staff.* Bo też autor tych słów nie tylko sam był poetą, ale i niesłychanie wrażliwym, chłonnym czytelnikiem poezji, można powiedzieć więcej — był jej miłośnikiem, o jakich chyba dzisiaj trudno. Nie można bez uczucia podziwu i zazdrości czytać o tych spotkaniach wypełnionych czytaniem i przeżywaniem wierszy, a przecież nie wszyscy ich uczestnicy byli poetami.

W miłośnictwie poetyckim K. A. Jaworskiego zawierała się jego wielka bezinteresowność, objawiana także i w innych dziedzinach. Jakże często pisze on w swej książce o takich sprawach jak miłość czy przyjaźń. Ileż w życiu pisarza było przyjaźni — od młodzieńczych, które przetrwały lata, poprzez „górskie", do równie trwałych, jakimi okazały się więzi K. A. Jaworskiego-nauczyciela z uczniami, którzy potem stali się kolegami i przyjaciółmi. Mam na myśli te rozdziały książki, które mówią o wychowankach K. A. Jaworskiego; wielu z nich związało swe życie także z poezją. Serdeczne, pełne wzruszeń słowa poświęcone są Kasperskiemu, Popowskiemu, Szczawiejowi, Mrozowskiemu, Igoniowi-Gąsiorowskiemu i innym. I o takie trwałe przyjaźnie dzisiaj niełatwo.

W „Końcu seansu" nie pominął K. A. Jaworski i tego obszaru biografii, który zajmowała praca nauczycielska. W życiorysach pisarzy tego okresu międzywojennego połączenie to nie należało do rzadkich. Podobną drogą szedł do literatury Stanisław Czernik, a także Przybos, Czechowicz, Jastrun i tylu innych. Autor „Końca seansu" nie był nauczycielem z powołania, toteż musiał na szarą nauczycielską rzeczywistość poszukiwać lekarstw — stanowiły je góry, zajęcia pisarskie, potem „Kamena". Dzięki nim K. A. Jaworski nie miał kompleksu prowincji, podobnie jak jego przyjaciel, Z. Waśniewski, współzałożyciel miesięcznika. To ich ratowało i dodawało sił.

Fot. M. Targoński

Na koniec przychodzi jeszcze jedna refleksja. Oto w „Końcu seansu" K. A. Jaworski powtarza niejako i na nowo przeżywa swoją biografię. Kiedyś zapadała ona w wiersze, teraz wcieliła się w kształt wspomnieniowy. I dopiero ta książka przekonała nas, jak bardzo cała twórczość poetycka autora „W połowie drogi" stanowiła swoisty pamiętnik artysty, zapis wszystkich jego miłości, urzeczeń i fascynacji. Ta jedność człowieka i pisarza, zamanifestowana i tutaj, przydaje „Seansowi" szczególnych wartości.

Szczerość i dyskretny umiar, rzeczowość i liryczne niemal wzruszenie, a także swoista dramaturgia opowieści sprawiają, że proza wspomnieniowa Kazimierza Andrzeja Jaworskiego sprawia czytelnikowi wiele satysfakcji.

Kazimierz Andrzej Jaworski: Koniec seansu. Lublin 1970. Wydawnictwo Lubelskie.

Tragedia - szansą miasta

Dokończenie ze str. 1

Dzieci ze szkoły podstawowej w Poznaniu, przebywające na wycieczce w Sandomierzu, zaczęły zbierać pieniądze na ratowanie miasta, które „jest biedne i bardzo nam się podoba". Składki wynosiły po 20, 10 gr i więcej. Zebraną sumę złożono w miejskiej radzie.

Rolnik z Bieszczadów przysłał nieskładnie napisany list, ale przecież pełen współczucia dla mieszkańców „nieszczęśliwego miasta" i pełen chęci niesienia pomocy. Donosił w nim, że może przyjąć do swojego domu, u stóp bieszczadzkich połonin, dwie osoby. W tym czasie bowiem już przystąpiono w Sandomierzu do ewakuacji ponad 3 tysięcy mieszkańców z domów w Rynku.

Byli partyzanci z ugrupowania „Jędrusie" przekazali na rzecz miasta pieniądze. Napisali: „Ziemia Sandomierska w czasie mrocznych dni okupacji hitlerowskiej potrzebowała naszej ofiary i krwi w walce z faszystowskim okupantem, dziś ta ziemia, na której się urodziliśmy, potrzebuje innej pomocy od nas, więc z tą pomocą spieszymy".

Staromiejski Ratusz w Sandomierzu, z którego po wiekach wyprowadza się rajcowie, aby ustąpić miejsca muzeum oraz turystom.

Z wielu ambon kościołów księża apelowali o niesienie pomocy Sandomierzowi, a i sami na konto ratowania miasta przemaszyli niemałe datki.

Wpłynęły pieniądze od przebywających w Polsce turystów Polonii zagranicznej.

W Łodzi powstało pod wpływem audycji radiowych kilka komitetów obrony miasta Sandomierza. Załogi niektórych przedsiębiorstw opodatkowały się dobrowolnie. Do Miejskiej Rady Narodowej w Sandomierzu zgłosiło się kilka grup robotniczych oferujących pomoc swoich rąk.

Przeglądam księgę listów i pism urzędowych, dotyczących właśnie tej spontanicznej oferty pomocy, płynącej z całej Polski. Setki kartek, listów, pozdrowień, wzywających do wytrwałości władze miejskie, zapewniających o jak najszczerszym współczuciu, wiele serdeczności.

Przyjazny klimat wokół sandomierskiej sprawy był nie bez wpływu na decyzję Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, który 28 czerwca 1967 r. podjął uchwałę (nr 156) stawiającą do dyspozycji władz miejskich Sandomierza nieograniczone środki finansowe przeznaczone na ratowanie miasta, myśl naukową i techniczną, wreszcie przedsiębiorstwa wykonawcze, mogące realizować program generalnej renowacji.

Tragedia miasta i jego mieszkańców stała się historyczną szansą rozwoju Sandomierza. To brzmi trochę cynicznie i paradoksalnie, ale taka jest wymowa faktów. Przystąpiono do opracowywania nowej dokumentacji remontów Starego Miasta, co więcej — opracowano dalekosiężny plan potrzeb Sandomierza w oparciu o nowe założenia. Jak mieczem węzeł gordyjski, tak jednym pociągnięciem ołówka przekreślono wczorajsze ustalenia. Ojcowie miasta, porwani pasją i wiarą w możliwości zmian na lepsze, które upatrzył w tej sytuacji przewodniczący Prez. MRN, Jan Śmiszek, wszystko postawili na jedną szalę — p r z y s z ł o ś ć. Ryzykowali, ale szansa była zbyt kusząca, żeby jej się nie poddać.

Nowy plan zakładał szczegółowe zagospodarowanie Starego Miasta, a więc terenu o powierzchni 32 ha, na którym znajdowały się 383 obiekty. Postanowiono wyburzyć te, które nie przedstawiają żadnej wartości historycznej. A takich jest aż 263. Nie ma obawy o to, że podjęto decyzję pochopną w stosunku do którejś z tych budowli. W Sandomierzu pamięta się bardzo dobrze o niefortunnej uchwale miejskich rajców z 1829 r., kiedy to za namową ówczesnego burmistrza postanowiono zburzyć trzy bramy wjazdowe i Ratusz. Ten ostatni i Brama Opatowska ostały się szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Widocznie z dwu rozebranych bram wystarczyło cegieł na wzniesienie rajcom komórek i chlewików. Dziś nie podejmuje się żadnej decyzji bez sięgnięcia po zdanie specjalistów. A tych przy renowacji i odbudowie Sandomierza jest wielu: i prof. Cebertowicz, i prof. Zenon Wilun z Politechniki Warszawskiej, i doc. Zbigniew Strzelecki z AGH w Krakowie, i prof. Zachwatowicz (konsultuje sprawy budowlane).

Może najwięcej kłopotów sprawiły wywłaszczenia. Około 80 proc. budynków w Rynku to własność prywatna. Ludzie zgadzali się z zaprojektowanymi przemianami, ale kiedy kolejność przyszła na ich budynek czy podwórko, wyszukiwali wszelkie argumenty opóźniające prace. Nowe założenia zakładają, że na Starym Mieście będą usytuowane placówki usługowe, sklepy, gastronomia, hotele, a więc wszystko to, co jest potrzebne dla sprawnej obsługi ruchu turystycznego. Z Rynku zostaną usunięte: kuźnia, zakład trumien, punkt reperacji samochodów, instytucje i przedsiębiorstwa. Władze miejskie opuszczą Ratusz, z którego przez wieki, od połowy czternastego stulecia, płynęły decyzje kierujące miastem. W zabytkowej budowli, którą zdobi zegar słoneczny zaprojektowany przez Tadeusza Przypkowskiego, znajdą pomieszczenia: muzeum, pałac ślubów, reprezentacyjna sala posiedzeń. Tu też będzie się kończyła półkilometrowa trasa podziemna, prowadząca lochami i krużgankami sandomierskimi na 4 różnych kondygnacjach.

Wszystkie pomieszczenia parterowe zostaną przeznaczone na sklepy i warsztaty usługowe. W planie ściśle ustalono charakter tych punktów i zastrzeżono, że nie mogą ulegać co sezon zmianom i przeobrażeniom. Zastrzeżenie to odnosi się zwłaszcza do handlu, który tak bardzo skoro jest, przy okazji każdego remontu, zmienić branżę sklepu, nie oglądając się wcale na potrzeby mieszkańców dzielnicy i nie zwracając uwagi na tzw. konieczność rejonizacji. Dziś na jednej z ulic sandomierskich znajduje się kilka sklepów obuwniczych. Podziemia Starego Miasta zostaną wykorzystane na zakłady gastronomiczne, piętra na hotele. W budynku nr 27 zostanie urządzona restauracja w rodzaju krakowskiego Wierzynka. Nie jest to wcale przypadkowe. Sandomierz od lat współpracuje z dzielnicą Stare Miasto w Krakowie. Oba grody mają wiele wspólnego, tyle że w Krakowie teren Starego Miasta jest rozleglejszy, ale w Sandomierzu problemy renowacyjne są bardziej skomplikowane.

Kompleksowe zagospodarowanie dotychczas nadmiernie podzielonych i zabudowanych podwórek zabezpieczy teren przed groźnym działaniem wody. Zasypane zostaną też lochy, których nie przewiduje się wykorzystywać w celach turystycznych i użytkowych. Oczywiście naukowcy opracowują dokumentację dzisiejszego stanu lochów, aby przynajmniej w dokumentach ostało się to, co przetrwało przez wieki do naszych czasów.

Obsuwające się skarpy zagroziły sandomierskim zabytkom.

Fot.: CAF

Sandomierz, w przeszłości nastawiający się na turystykę, zapomniał całkowicie o swoich stałych mieszkańcach. Budowano nowe domy, zakładano kanalizację, ale nie było dodatkowego ujęcia wody. Obecnie miasto liczy już 20 tys. mieszkańców (jeszcze w 1963 r. było tylko 14 tys.!), potrzeby wzrosły, tymczasem stare wodociągi dają jedynie 15 proc. ogólnego zapotrzebowania. Krach z wodą! To też paradoksalnie brzmi, bo Sandomierz nękany jest przez wodę, a wody pitnej nie ma. Do nowych bloków wodę dowozi się codziennie beczkowozami z Wilkusa, oddalonego o 8 km od miasta. Od 10 lat poszukuje się nowych źródeł wody konsumpcyjnej, bo ta drążąca struktury lessowe, na których wznosi się Sandomierz, nie nadaje się do picia. Prawdopodobnie za pięć lat i ta sprawa zostanie pomyślnie rozwiązana, bo już istnieje projekt budowy 20-kilometrowego odcinka rur od nowych ujęć.

Naliczono w mieście 11 restauracji. Znacznie poniżej sezonowych potrzeb. Około 40 proc. turystów musi szukać punktów wyżywieniowych poza Sandomierzem. Sezonowość ruchu turystycznego jest również problemem kłopotliwym dla władz. W ciągu czterech — pięciu miesięcy w roku do Sandomierza przyjeżdża ponad pół miliona turystów, średnio dziennie ulicami miasta wędrują 4 tysiące przyjezdnych. Latem zatrudnia się w lokalach gastronomicznych 300 kelnerów, ale zimą — w okresie posezonowym — wystarczy zaledwie 60. W ostatnich latach (najwięcej turystów było w 1967 r.) wzrosły poważnie w Sandomierzu zachorowania na choroby weneryczne.

— Nie mamy nic przeciwko pięknym dziewczynom — zwierza się przewodniczący Prez. MRN, Jan Śmiszek — ale odczuwamy w sezonie letnim po prostu najazd na nasze miasto dziewcząt uprawiających prostytucję. Nie zapewniamy niestety żadnej godziwej rozrywki, którą moglibyśmy zaproponować nocującym w naszym mieście wycieczkowiczom. Domu kultury nie ma. Czekamy z niecierpliwością na ukończenie remontu zamku, do którego przeniesiemy muzeum i w którym będzie biblioteka, dom kultury, mała salka estradowa, sala konferencyjna. Opracowujemy również iluminację Starego miasta, a konserwator wojewódzki myśli też o imprezie typu światło i dźwięk, ale na razie jest to pieśń przyszłości.

Przy pełnym zachowaniu zabytkowego charakteru Starego Miasta zmieni się całkowicie struktura budynków, mieszkań, adaptowanych da turystyki pomieszczeń. Po renowacji wystrój zewnętrzny staromiejskich kamienic nadal będzie przypominał bogactwo i świetność dawnych wieków, ale wnętrza w niczym nie będą ustępowały nowoczesnym wymaganiom.

Dotychczas wydano w Sandomierzu ponad 135 mln złotych na prace zabezpieczające, porządkujące i rekonstruujące Stare Miasto. Do 1973 r. powinno zakończyć się prace górnicze, zmierzające do zabezpieczenia przed obsuwaniem się skarpy. Oczywiście na tym nie koniec. Przystosowanie funkcji Starego Miasta do potrzeb ruchu turystycznego będzie wymagało dalszych jeszcze prac i wydatków. W każdym razie szansy nie zaprzepaszczono.

Podobne plany ma Lublin w odniesieniu do swojego Starego Miasta. Również ono ma być centralnym punktem ruchu turystycznego w mieście. Ale kiedy to nastąpi? Trudno powiedzieć, zwłaszcza, że Lublinowi nie grozi żadne obsuwanie się skarpy.

Al. Leszek Gzella

Marek Obarski

Turkawka

Przejdziesz przez grzęzawisko ryku
turkawko łuny
co ratujesz noc
turkawko jaskini
co ratujesz dzień

jestem wilkiem
w gasnącym śniegu
jestem obłokiem
w bielejącym grzmocie
jestem trzciną
w czerwonym mrozie

przejdziesz cieniem zielonym
po gościńcu ryku
turkawko ze srebra
co łasisz się do mojej piersi
turkawko z krwi i deszczu
co łasisz się do mojej szyi

Poznań

Alina Guzowska

Bez pamiętania

Żeby tak
z kamieni przydrożnych
wykrzesać iskrę
jaśniejszą i trwalszą
od błysku
gwiazdy spadającej

zamknąć jej światło
w dłoniach zziębniętych
i nieść
jak lampkę oliwną
myśląc
że to szczęście
pochwycone
między jego zrodzeniem
a skonem

bez pamiętania
o kamieniach
co
namokłe deszczem
z rąk wymykają się
łatwo

Lublin

Rys. L. Szalecki

Kamena str. 3

Dokończenie ze str. 1

drugi. Teraz już etap następny — trzeba natychmiast słać teksty do „Radaru" czy „Filipinki", których dobre serce także jest znane. I debiut w prasie — z głowy. Równocześnie — gdy tak fajnie idzie — należy spróbować szczęścia na filologii polskiej, tam nas dopiero nauczą, jak wiersze pisać!

Skoro już studiujemy, oczekujemy na studia, czy zwyczajnie pracujemy, istnieje kilka możliwości kontynuowania literackiej kariery. Ale wszystkie wiążą się ze zjawiskiem klubu lub grupy. Możemy założyć studencką grupę twórców, powstają one w Polsce co chwila i co chwila rozpadają się, aby zmartwychwstać na nowo pod nieco inną nazwą i w nieco zmienionym składzie osobowym. Mają własne „podziemne" pisemka. Możemy stworzyć jakąkolwiek grupę w gronie najbliższych znajomych.

„Jest nas trzech — nas, to znaczy członków Grupy Twórczej (tu nazwa)... Ponieważ dwóch z nas pisze — plastyką zajmujemy się wszyscy trzej, ale to mniej ważne — a więc dwóch pisze, intryguje nas działalność KKMP, osnuta mgłą tajemnicy... Prosimy o kilka informacji — my zaś na żądanie udzielimy potrzebnych danych ze swej strony, co uroczyście zaświadczając, pozostajemy z poważaniem, polecając się jednocześnie łaskawej uwadze". Koniec, kropka, podpis, dokładny adres, pieczęć grupy. Nawet tekstów nie nadesłali. Cisza, spokój, odbiór. Taki list otrzymała nasza redakcja niedawno. Bo jeśli założyło się już grupę, trzeba szybko startować do klubów. Najlepiej zaś należeć do kilku grup i wszystkich klubów równocześnie.

Te ostatnie, istniejące zazwyczaj pod patronatem rozmaitych organizacji czy instytucji, mają bardziej trwały żywot. Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, Stowarzyszenie Twórców Ludowych (dawniej — Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych), Nauczycielski Klub Literacki... Statutowo mają cele różne, wykluczające przynależność tych samych osób, lecz kto by o to dbał?! Ci sami młodzieńcy, którzy są w KKMP i z tej racji publikują na łamach „Zapola" — wkładki do „Kameny", nadsyłają wierszyki do „Ziemi i Pieśni" — analogicznej wkładki STL-u. Bo oni funkcjonują sprawnie w obu klubach. Raz są twórcami ludowymi, kontynuatorami i zapisywaczami folkloru, innym razem natomiast młodą inteligencją twórczą, tworzącą dzieje awangardowej poezji współczesnej. Uśmiać się można.

Żeby nie było nieporozumień — nie występuję generalnie przeciwko ruchowi KKMP czy instytucji, bo tak to by trzeba było nazwać, STL. Występuję natomiast przeciwko cwaniactwu, które pod pozorem realizowania szlachetnych celów KKMP i STL odcina kupony na rzecz własnej prywaty. Chodziłoby więc nie o likwidację klubów, lecz o zaostrzenie statutowych zasad przyjmowania członków.

Więc działasz w kilku grupach i należysz do paru klubów. O grupach warto teraz powoli zapomnieć, lepiej z klubami zakombinować, bo one mają większe możliwości p u b l i k a c j i. Ech, publikacje! Tomiki, almanachy, zeszyty poetyckie... Trochę prowizoryczne i mało nakładowe imprezy, ale z początku trzeba się przyzwyczaić, nie wymagać zbyt wiele. Tylko swoją sprawę cierpliwie posuwać do przodu. Jednocześnie bowiem czujesz się uprawniony do bombardowania redakcyj własnymi tekstami, jesteś przecie członkiem klubu twórczego, a przedtem publikowałeś nawet w „Radarze". Zatem ż ą d a s z druku od szanownej redakcji.

Na razie zaczyna się od pism prowincjonalnych, ot, tygodniki, dwutygodniki, miesięczniki społeczno-kulturalne. Byłem niedawno w redakcji typu „Kameny". Pokazano mi szufladę literacką. Ile ja tam

Pompowanie pisarzy

znalazłem znajomych tekstów i nazwisk! Cóż bowiem nasz młodzieniec dalej czyni? Siada i pisze przeciętny wiersz do jednej zgrabnej metafory. Albo dwa przeciętne wiersze do dwu zgrabnych metafor. Przepisuje natychmiast w kilku kopiach i rozsyła, gdzie może. Gdyby to były chociaż teksty źle zdecydowanie, grafomańskie po prostu! Bo najgorsze nie są teksty złe, najgorsze są właśnie teksty przeciętne, zalegające stosami w biurkach redakcyjnych. Co z tym zrobić? Skoro niekiedy jegomość w tak zwanym międzyczasie jakąś tanią witrynkę poetycką sobie załatwił, publikował w tygodniowych dodatkach do gazet codziennych i tym argumentuje. W ogóle zaprzestać publikowania młodych, kredytu nie udzielać? Któryś redaktor społeczno-kulturalny straci w końcu cierpliwość i rzecz przepuści do druku.

Jest to mechanizm, który polega na przyjmowaniu przez redakcje tylko cząstkowej odpowiedzialności za poziom i wartość drukowanych utworów młodych pisarzy. Ktoś już przede mną tego autora firmował, zatem może w jego tekstach jest coś więcej niż ja dostrzegam. Mechanizm ów niejednego młodzieniaszka zaprowadził na łamy „Kultury" lub „Poezji".

Skoro się doszło do „Poezji" czy „Kultury", łatwo o debiutancki tomik w zwyczajnym wydawnictwie, najlepiej w „Czytelniku" bądź w „Iskrach", ale może też być na prowincji w ostatecznym razie. I pisarz gotów. Żadna siła z pisarstwa go nie wyciągnie. O to jedynie chodziło. Droga do koła młodych przy oddziale ZLP — otwarta. Dalej to już tylko samo szczęście. Rychła stabilizacja na parnasie. Stypendia, druga książka, członkostwo w ZLP, znów stypendia, wieczory autorskie. Tego się przynajmniej spodziewają, na to liczą. Często się udaje. Za łatwo!

Najdziwniejszy w tym wszystkim jest fakt, że idzie o młodych, a więc ludzi, którym powinno się chcieć czegoś więcej niż tylko nobilitacji w obrębie jakiejś kasty zawodowej. Tworzą grupy nie po to, by się spierać o istotne wartości literackie, demonstrować określone i ambitne postawy światopoglądowe; należą do KKMP nie po to, by zostać działaczami kulturalnymi w terenie (a taki jest chyba główny cel Klubu — może się mylę?); piszą nie po to, by głosić coś autentycznego, własną wizję świata i odpowiadające, jej nowe środki ekspresji słownej) — powielają spokojnie istniejące już konwencje, obstawiają masowo wszelkie konkursy literackie, nierzadko tymi samymi tekstami. Chodzi im jedynie o DRUK. Ciągły druk, który by do klanu kanonizował. Zostać pisarzem, ale po co? Zostać pisarzem i już!

Stąd się bierze cwaniackie uczestniczenie w różnych klubach jednocześnie — szukanie możliwości publikacji różnymi kanałami. Pewna grupa poetów-studentów ogłosiła niedawno manifest, w którym czytamy: „Poezja, będąca kwileniem bezbronnej jednostki, przestaje przemawiać swą autentycznością i zaangażowaniem w sprawy dzisiejszego świata. Dzisiejszy czytelnik żąda nie obrazu pojedynczych wzruszeń, lecz obrazu reprezentującego świadomość zbiorowości." Bardzo pięknie. Tylko, że skoro głoszą koncepcję zbiorowego aktu twórczego, skoro obok wydrukowali swoje „zbiorowe" teksty — nieprzyzwoitością jest wysyłać równocześnie swe całkiem indywidualne a zarazem indywidualistyczne wierszyki do kolumny KKMP! Bo zacznę podejrzewać, iż deklaracje ich nieszczere, a wzniosłe słowa kryją płaską chętkę „wypłynięcia" za wszelką cenę.

Bywa, że mechanizm windujący młodych ku parnasowi zacina się w pewnym momencie. Na przykład na etapie publikacji w prasie regionalnej, albo na etapie debiutanckiego tomiku w wydawnictwie terenowym. Zacina się i nie ma skłonności ruszyć dalej. Po prostu ktoś rozsądny się znalazł na etapie następnym, kilku rozsądnych z możliwością decyzji. Wtedy nasz młodzian stara się pomóc upartej maszynerii. Jeśli przypadkiem nie studiował filologii polskiej, ale co innego — natychmiast postanawia naprawić swój błąd. Dostałem kiedyś list od chłopaka z IV roku politechniki, który, wydrukowawszy dwa opowiadania w piśmie studenckim, nie mógł przekroczyć bariery prasy regionalnej. Postanowił przeto zacząć regularne studia filologiczne, zarzucając politechnikę. Ile ja się ludziom natłumaczyłem, że filologia nie uczy, jak tworzyć literaturę, lecz tylko jak ją badać, a i to nie zawsze dokładnie, a w każdym razie nie zawsze idzie o literaturę współczesną, przeważnie o starocie.

Zmiana studiów jednych na drugie z takiego powodu, choć bzdurna, nie jest jeszcze złem najgorszym. Tak samo decyzja podjęcia nauk polonistycznych tylko dlatego, iż się wygrało konkurs szkolny na poemat o Wandzie i Kraku. Gorzej, jeśli młodzian w ogóle rzuca studia czy pracę, gdyż albo wydaje mu się, że w ten sposób zyska czas dla rozmyślań twórczych, które w szybkim tempie zaowocują kilogramami wydrukowanych tekstów, albo też sądzi, że po kilku publikacjach czy z powodu przynależności do KKMP przekroczył już barierę genialności, a w każdym razie zawodowego pisarstwa, wobec czego zwyczajną robotą wstyd byłoby się parać. Siedem nieszczęść z takimi „twórcami". A bo to mało ich!

W ten sposób powstają lokalne sławy, sztucznie pompowani literaci z całym gronem satelitów. Goście, którzy się nie sprawdzili na innym gruncie, cyganeria za pięć groszy, utrzymująca się z „odczytów" i „wieczorów autorskich" w terenie, bo teren wszystko kupi. W Warszawie będzie to środowisko chłopców chodzących po Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie, a czasem leżących w krzakach przed „Dziekanką". Gdzieś się otarli o publikację i to im wystarczyło. Za nic odpowiedzialności. Alpagi i dziewczyny. Oczekiwanie na szansę literacką. A do roboty ich!

Wybaczam mamusiom, gdy przynoszą mi „genialne" wierszyki swoich pociech kilkunastoletnich. Bo rozumiem mamusie. Nie chcę rozbudowywać wniosków i ocen psychosocjologicznych w zakresie statusu pisarza w naszym kraju. Wiem też, że zawsze młodzi pisali wiersze i zawsze najwięcej było poetów minorum gentium, którzy stawali się mierzwą i piaskiem historii literatury. Ale wydaje się, iż społecznie tolerowane możliwości produkcji małych poetów w naszym kraju są stanowczo za wielkie.

Maciej Podgórski

OD REDAKCJI: Artykuł drukujemy jako dyskusyjny: w kolegium zarysowały się pewne różnice poglądów na temat opinii wyrażanych przez autora. Chętnie zapoznalibyśmy się ze zdaniem naszych Czytelników.

Filip Ratkowski

Portret z lilią

Dotykasz kwiatu jak płomienia
świecy
ruchliwe cienie stoją wokół [illegible]
zamykasz okno wciąż pełne ogrodu

to noc sierpniowa.

Patrz — w siodłach krzeseł,
nachylone
umyka trzepotanie liści,
bo gdy za [illegible] lamp [illegible]
świt chwyta —
całym twoim wschodem
Medea — wzgórze ognia stajesz.

Dotykasz kwiatu jak płomienia
świecy
niepotrzebnego światła — [illegible]
[illegible]

Kraków

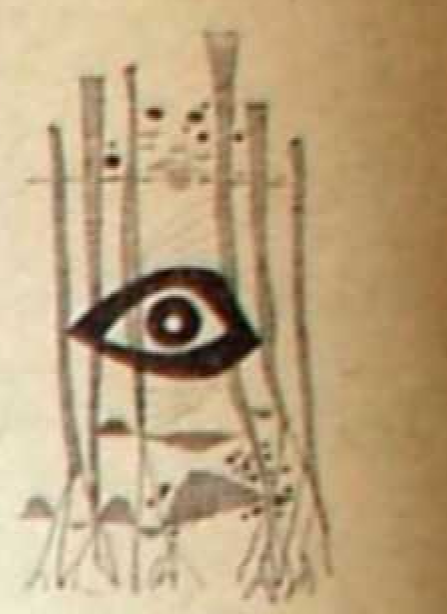

Rys. L. [illegible]

Stanisław Matys

morze

wyrwani ze skorupy betonu
z zaciętości żelastwa
z kruchości szkła wytrzaskani
do morza
płaszczyzny czół naszych
z pożarem w spękanych źrenicach
twarze
od żaru palenisk spękane
zwróciliśmy
i z wapnem w kolanach
z trocinami żelastwa w pachwinach
z grudami żużlu we włosach
runęliśmy
w morze
żeby krwi wodorosty
wibracje tętnic
kraby rąk naszych
kadłuby
przypływom żywiołów poddać
osad zmęczenia
kwasotę
wypłukać

Białystok

Pan na ruinach

Dokończenie ze str. 1

łożyciel, Piotr Firlej, kasztelan wiślicki, starosta radomski i kazimierski a także... kochanek królowej Bony, postanowił na wysokim nadwiślańskim wzgórzu wystawić rezydencję tak okazałą, aby mogła ona zaćmić pałace i zamki innych magnatów. Mógł sobie na to pozwolić tym bardziej, że jak pisze o królowej Bonie Ignacy Krasicki:

„Co się przy pańskich dworach dość zwyczajnie dzieje
Tym, co zdarła od drugich, stroiła Firleje, —"

Mógł sobie na to pozwolić, bo wziął za żonę jedną z najbardziej wówczas posażnych w Koronie dziedziczek Zofię Bonarównę, jedynaczkę, córkę wielickiego żupnika, która wniosła mężowi w wianie milionowy majątek.

A przecież, jeśli wierzyć legendzie, już wówczas miał być zamek janowiecki widownią tragedii wynikającej z wygórowanych ambicji. W gościnę do Firleja wybierał się król Zygmunt Stary, razem z żoną i licznym dworem. Kasztelan postanowił wydać z okazji przyjazdu władcy wspaniałą ucztę. Nie żałował pieniędzy. Sprowadził czterystu kuchcików. Władzę nad nimi sprawował kuchmistrz, sprowadzony z dalekich krajów. Wydawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie w zrealizowaniu magnackich ambicji. Aż nagle, dzień przed ucztą, ochmistrza dworu zaniepokoiła dziwna cisza w pomieszczeniach kuchennych. Gdy wszedł do wnętrza, oczom jego przedstawił się makabryczny widok: na wielkim kominie, wbity na rożen, wisiał martwy zagraniczny kuchmistrz. Nie wiadomo, co było przyczyną zatargu pomiędzy nim a podwładnymi. Dość powiedzieć, że kuchcikowie upiekli swojego szefa niby wołu, a potem, obawiając się gniewu pańskiego, zbiegli za Wisłę, do Kazimierza. Musiał zatem Piotr Firlej zdusić w sobie słuszny gniew, zrzucić pychę z serca i... słać do zbiegłych kucharczyków posłów z prośbą o powrót i z zapewnieniem darowania zbrodni.

Syn Piotra, Andrzej Firlej, miał ambicje posiadania jeszcze wspanialszej rezydencji. W połowie XVI stulecia zatrudnił w Janowcu wybitnego artystę owych czasów, architekta i rzeźbiarza, Santi Gucciego, który dawnej warownej budowli nadał charakter pałacowy.

Po bezpotomnej śmierci Firlejów Janowiec dostał się w posiadanie Tarłów, a następnie, przez małżeństwo jednej z Tarłówien z marszałkiem wielkim koronnym, Jerzym Sebastianem Lubomirskim, tym samym, który w Lubomli witał króla Jana Kazimierza — przeszedł w ręce rodziny Lubomirskich. Za czasów Tarłów zamek został znacznie rozbudowany, a długoletnią budowę i rozbudowę Janowca zakończył — już za Lubomirskich — Tylman z Gameren.

Miał zamek janowiecki w czasach swojej największej świetności rozciągać się na stu metrach długości, posiadał dwa dziedzińce, siedem wielkich sal i ponad sześćdziesiąt komnat. Kolejni właściciele łożyli wielkie sumy na uświetnienie swojej siedziby, choć prawdę mówiąc, była ona częściej przeznaczona „na pokaz" niż na stałe zamieszkanie. Jedynie chyba Antoni Benedykt Lubomirski, za którego czasów południowe skrzydło zamku otrzymało styl Ludwika XV — obrał sobie Janowiec za stałą siedzibę. Ale już syn Benedykta, Marcin, znany hulaka, rozpustnik, niespokojny duch swojej epoki, kierował swe wybujałe ambicje w zupełnie innym — niż budowlany — kierunku. Powie o nim dziejopis: „pieniędzmi tak sypał i siał jak gdyby się spodziewał, że mu wyrosną". Otóż Marcin Lubomirski potrafił w jedną noc przegrać cały zamek w faraona do swojego kuzyna, hrabiego Ponińskiego. Gdy Poniński zaproponował anulowanie długu, pyszny magnat miał oświadczyć, że szlachcic ma tylko jedno słowo i jeden honor.

Duma Lubomirskich nie mogła znieść myśli o mariażu kogokolwiek z rodziny z osobą niżej postawioną, a cóż dopiero z osobą wywodzącą się ze stanu podłego. Podanie głosi, że gdy siedemnastoletnia Helena Lubomirska zakochała się w miejscowym młodym flisaku, ojciec uwięził ją w narożnej komnacie zamku. Lecz duma i ambicja nie pozwoliły także księżniczce na bierne poddanie się woli ojca. Postąpiła tak, jak postępowały dotknięte na honorze księżniczki w owych czasach: przywdziawszy czarne, żałobne szaty, zatopiła w dziewiczej piersi klingę sztyletu. Duch jej ma od tej pory na własność Komnatę Czarnej Damy. Od czasu do czasu Czarna Dama jawi się oczom śmiertelników; ludziom dobrym ukazuje się ze smutnym uśmiechem na ustach, ale biada grzesznym — tych straszy bezlitośnie.

W późniejszych wiekach zamek został sprzedany podkomorzemu Piaskowskiemu, następnie objęli go w posiadanie hrabiowie Mierzewscy, w początkach dwudziestego stulecia tereny zamkowe weszły w skład majątku Oblasy, należącego do Ćwirko-Godyckich. Lubomirscy byli ostatnimi właścicielami, których fortuna wystarczała na utrzymanie tak ogromnej budowli. Pyszna rezydencja szybko zaczęła się chylić ku upadkowi. W połowie XIX stulecia zamek w Janowcu był już pozbawiony dachów i tylko w niewielkiej części zamieszkały. Wydawało się, że częściowo wypalone, odarte z rzeźb i marmurów ściany nie rozpalą niczyich ambicji, że zamkowy dziedziniec do cna zarośnie chwastami. Stało się jednak inaczej.

*

W 1928 roku nabył wzgórze zamkowe z parcelacji majątku Ćwirko-Godyckich niespełna trzydziestoletni wówczas Leon Kozłowski. Kupił ruiny, stary park rozciągający się wokół budowli, nieco ziemi ornej i kawał sześćdziesięciometrowej, stromo opadającej ku Wiśle skarpy. Razem majętność nie przekraczała dwudziestu hektarów, z czego większość stanowiły nieużytki. Nabył, a właściwie, jak uważał, o b j ą ł w posiadanie „dziedzictwo", które jemu, potomkowi Rurykowiczów, skoligaconemu także z rodziną Lubomirskich, należało się wziąć w posiadanie. Ile w takiej decyzji było ambicji posiadania choćby odrobiny własnych „latyfundiów", które podobno mieli Kozłowscy przed pierwszą wojną światową gdzieś na Wołyniu, a które stracili? Jaką poprawkę należałoby dać na przyrodzoną fantazję nabywcy, jaką na romantyzm...? Leon Kozłowski uważany był wszak przez rodzinę za niespokojnego ducha, za pełnego szalonych pomysłów młodzieńca, za „marzyciela". Gdy miał lat niespełna siedemnaście, uciekł ze szkół i wstąpił ochotniczo do 16 pułku huzarów Jego Imperatorskiej Mości. Matce udało się wyrwać, na szczęście, niedorostka z szeregów wojska. Gdyby nie to, byłby może złożył głowę na którymś z frontów pierwszej wojny światowej, nie zdając sobie nawet sprawy, w jakim celu i za co walczył. Gdy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości skończył oficerską szkołę kawalerii w Grudziądzu, gdy zaczął odnosić sukcesy na zawodach hippicznych w Łazienkach, gdy dowódcy typowali go do wyższej szkoły wojennej — co zresztą sprzyjało ambicjom rodziny — on nagle postanowił porzucić wojsko i wstąpił na SGGW w Warszawie. W swej „rolniczej" karierze piął się na coraz wyższe szczeble, był jednym z sekretarzy ministra rolnictwa, wyjeżdżał do Ameryki Południowej, aby badać tam warunki życia polskich osadników, gdy nagle... zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zdecydował się na kupno owej płachci nieużytków, ukoronowanej starymi ruinami.

Zaczął się teraz w życiu Leona Kozłowskiego okres „panowania na Janowcu", okres docinków ze strony literatów i dziennikarzy, którzy w barwnych słowach opisywali, jak to właściciel zamku każdego ranka dokonuje ceremonii wjazdu na koniu do swej „magnackiej" siedziby, jak przebrany za Czarną Damę straszy ludzi przechodzących mimo jego posiadłości. On tymczasem, pełen zapału, budował tarasy na schodzącej ku Wiśle skarpie — miały tam powstać winnice — sadził drzewa owocowe, próbował siać na nieużytkach. Równocześnie coraz większą jego pasją zaczęły stawać się ruiny. Spod gruzów wygrzebał siedem komnat, wyremontował, wstawił meble i... „osiadł" na zamku. Kto dziś zaręczy, że wówczas, w największej przed wszystkimi tajemnicy, nie piastował myśli o odbudowaniu z biegiem lat przynajmniej najważniejszych części zamku? Czy wtedy równie lekceważąco, jak dzisiaj, machał ręką na wspom-

Wielka woda w suchym dole

DESZCZE zaczęły podać daleko na południu, nikt nie przeczuwał groźby, którą miały przynieść. Bo i skąd ludzie w Świeciechowie, Bliskowicach czy Popowie, we wsiach rozsianych nad Wisłą, za Annopolem, na podstawie jakich to znaków na pogodnym niebie mogli odczytać zbliżające się niebezpieczeństwo? A kiedy nawet deszcze zaczęły zlewać ziemię kraśnicką, wszyscy martwili się głównie o zbiory, o to, czy woda nie położy, nie zniszczy plonów ich roboty. Wisła nie zaczęła jeszcze pęcznieć. Ale już 20 lipca o godzinie 22.30 w świeciechowską dolinę wtargnęła woda.

* * *

Najwyższa woda już przeszła, nic gorszego ponad to, co zrobiła, nie zrobi, ale nad Wisłą ludzie nadal dyżurują, co chwila terkocą telefony.

— Stan wody w Popowie o godzinie 18: pięć metrów dwadzieścia centymetrów...

— Stan wody w Annopolu...

W głosach telefonujących nie ma już zdenerwowania, raczej pogodzenie się z sytuacją, uznanie jej za następstwo działania sił niezależnych od człowieka. Bo też Wisła wyczynia w tym rejonie rzeczy osobliwe: jej dolina, bardzo szeroka w Kotlinie Sandomierskiej, nawet do 5 km, tu, w okolicach Annopola, zwęża się do 1 km, a samo koryto znajduje się w ciągłym ruchu, jakby nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Ten niepokój wielkiej rzeki ujawnia się częstymi powodziami, do których ludzie się jakoś przyzwyczaili, nauczyli przed nimi bronić, co nie znaczy, że ciągłe wylewy nie uderzają ich po kieszeniach. Tegoroczna powódź okazała się przy tym szczególnie podstępna i wielka.

— Woda zalała ok. 1000 ha, straty sięgają ponad 11 mln złotych — mówi przewodniczący komitetu przeciwpowodziowego, Stanisław Kucharuk, sekretarz Prezydium PRN w Kraśniku Lubelskim.

— O ile wiem, ma pan spore doświadczenie w walce z klęskami żywiołowymi...

— Powodzie mamy prawie co roku, wiosenne i letnie, nie tak, oczywiście, niszczące, jak ta, ale zawsze sprawiające dużo kłopotów.

* * *

Najpierw jedziemy do Annopola, gdzie ogromny i silny most drwi sobie z potężnego nurtu o żółtobrunatnej barwie, skręconego w spirale niezliczonych wirów. Kilka lat temu stał tu most drewniany, o którego utrzymanie toczono podczas każdej powodzi, często bez powodzenia; wezbrana rzeka niszczyła kruche przęsła z naturalną łatwością.

Tak na oko rozlewisko mierzy 2 km szerokości. Wielka woda, a pomyśleć, że nie tak daleko stąd, w trójkącie o powierzchni 220 km² zakreślonym doliną Wisły, Wyżnicy, drogą Kraśnik—Olbięcin i rzekami Turczynem i doliną Sanną, znajduje się jedna z największych pustek wodnych w Polsce; dwie małe strugi nie przekraczają 2 km długości. Dlatego też w rejonach pozbawionych naturalnych źródeł wody można spotkać wiele sztucznych stawów i sadzawek, zbudowanych dla celów przeciwpożarowych czy hodowlanych. Inwestycje były stosunkowo proste w realizacji, ale na ich efekty należało trochę poczekać: w lessowym dole po kilku latach tworzyła się nieprzepuszczalna warstwa iłasta, gromadząca wodę na swojej powierzchni. Na wsi kraśnickiej buduje się coraz więcej wodociągów, kacze sadzawki, zaniedbywane przez ludzi, wysychają.

Natomiast jezioro w leżącym 3 km na północ od Annopola Świeciechowie, a właściwie stare koryto Wisły, nigdy nie zamarza, stanowiąc znakomite, bo głębokie, schronienie dla karpi i węgorzy, szczególnie tu licznych. Ale teraz nie wiadomo, gdzie jest jezioro! Może w tym miejscu kończą się jego granice, może sto metrów dalej, może w ogóle nie ma jeziora. Wielka tafla żółtawej wody, spłukowana zielenią wierzchołków drzew, spokojnie oddycha, wytrwodona z rzecznego, za wąskiego dla niej koryta.

Wieś leży w jednym z najbardziej żyznych rejonów powiatu, naturalne jej bogactwo opisano w latach 1949—1951 tomem ochronnym. Tym razem wsi zawiódł, nie bez udziału ludzi.

Jedziemy dalej na północ, ładną szosą, której woda nie dosięgła, jedziemy — być może — trasą średniowiecznych kupców, ciągnących tędy z wyprawą do Grodów Czerwieńskich i Ruś. Jak chcą stare przekazy, targowali oni w Świeciechowie na placu między wsią a Wisłą; dziś musieliby rozwozić towary łódkami.

* * *

Pięć kilometrów dalej stajemy w Popowie, którego brzeg nadwiślański wysoki i urwisty, oddzielony od wsi szerokim pasem łąk, na nich zaś kołyszą się dwie bramki do piłki nożnej, czarne kreski, ledwo dostrzegalne w dziesiątkach hektarów pomarszczonej powierzchni wody.

— Wisła jest tam, za tymi drzewami, dopiero tam — mówi Mieczysław Kilianek, wskazując daleko dłonią. Drzewa widać, rzeki nie, ale drzewa są przecież wysokie.

— Przerwało tutaj — informuje. — Tu, gdzie robią stację pomp. Zalało gospodarstwa, trzeba było ewakuować.

Wsiadamy do łódki, Kilianek odpycha ją drągiem od pokaratanego wału, fotoreporter robi zdjęcia. Powoli zachodzi słońce, bezwietrzny mrok nastraja wcale nie dramatycznie, a dla wielu przecież mieszkańców tej wsi (i innych osad) 20 lipca o godzinie w pół do dwunastej w nocy zaczął się prawdziwy dramat. Komuś, kto nie mieszka w nadwiślańskiej dolinie, kto przyjechał na kilka tylko godzin jako widz, z notatnikiem reporterskim i aparatem fotograficznym w dłoni, pejzaż nadwiślański, tak w swoich kształtach leniwie łagodny, jawi się przede wszystkim jako pejzaż. I nie jest to chyba winą obserwatora. Zawsze zresztą, w podobnych okolicznościach jak ta, dochodzi w człowieku do głosu brzydka refleksja: „jak to dobrze, że nie mnie się to stało".

Od dwóch lat w obrębie doliny świeciechowskiej prowadzono prace melioracyjne, które pochłonęły kilkadziesiąt milionów złotych. Miały na celu gospodarskie dobro: nawodnianie w okresach suszy łąk okolicznych. Właśnie zabrano się do ostatniego etapu prac, do wykonania przepompowni w Popowie. Przekopano wał i wtedy nabrzmiały utilane wody, wtargnęły na 1000 hektarów ludzkiego majątku... Prawdziwy pech. Ale kto mógł przewidzieć?

* * *

Na całej trasie wylewu wód ogłoszono ostry alarm przeciwpowodziowy, ustalono dyżury, udzielono pierwszej pomocy poszkodowanym, oszacowano pierwsze szkody. Akcja była bardzo sprawna — władze powiatu kraśnickiego po raz którys stanęły na wysokości trudnego zadania. Posterunki zaczęto zdejmować w piątek, 24 lipca, około godz. 13.

T. G.

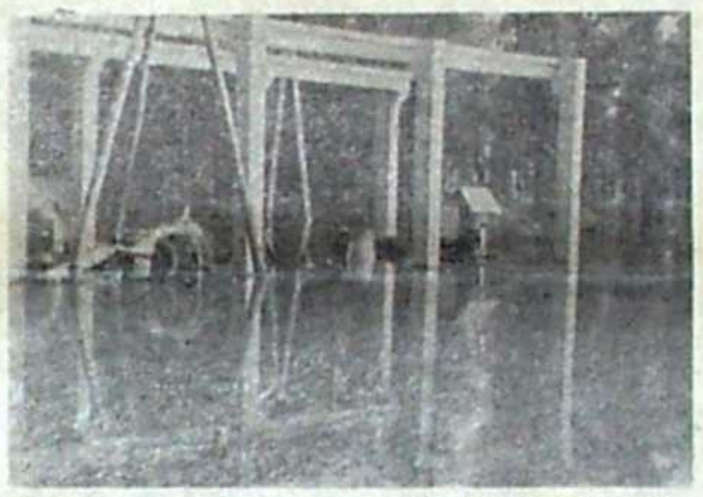

Zdjęcia: Ryszard Maron

nienie, że gdzieś na terenie ruin leży trzynaście skrzyń złota zakopanych przez okoliczną szlachtę w czasie szwedzkiego potopu? Odnalezienie skarbu pozwoliłoby z łatwością odbudować zamek...

Tak czy inaczej, grzebał pan Kozłowski w starych murach, rył ziemię w lochach, kopał wokół budowli i wyciągał na światło dzienne zardzewiałe hełmy rycerskie, popękane lufy armatnie, szable, odpadłe ze ścian fragmenty rzeźb. Dodał do tego trochę ocalałych rodzinnych mebli, portretów, pożółkłych dokumentów, zetlałych perskich kobierców, wyleniałych skór niedźwiedzich, porozmieszczał wszystko w komnatach i stworzył dom — nie dom, muzeum — nie muzeum, w każdym razie wnętrze niepowtarzalne, w którym prawdziwe dzieła sztuki sąsiadują z rzeczami bezwartościowymi, gdzie zardzewiały klucz leży obok dokumentu podpisanego przez Kościuszkę, a obok greckiej rzeźby sprzed dwóch tysięcy lat, stoi oparta o ścianę maczuga, wystrugana z kołka przez współczesnego wieśniaka.

Nie pozbawiony wielkiego wyczucia plastycznego, komponował pan Kozłowski z zardzewiałych ułamków krat i powyginanego żelastwa wspaniałą bramę wjazdową, wieszał na murach buńczuki z końskiego włosia, ściągnął z Opola Lubelskiego, wywindował na basztę i osadził na jej szczycie figurę Kościuszki, aby się stało zadość słowom pieśni „Patrz Kościuszko na nas z nieba...", przywiązał Naczelnikowi do ręki szablę, o której małomiasteczkowy rzeźbiarz snadź zapomniał. Po ostatniej wojnie na ścianach komnat zawisły dodatkowo zdekompletowane pepesze, bagnety i do cna przeżarte rdzą niewypały „Katiusz".

Nie wolno brać panu Kozłowskiemu za złe jego „zbioru rozmaitości". Jego „muzeum" to świadectwo życiowej pasji człowieka, któremu tylko w części udało się zrealizować wymarzony cel.

*

Pod koniec czerwca bieżącego roku, po raz pierwszy od dwustu lat, wstrząsnęły murami janowieckiego zamku gromkie wiwaty, w komnatach zabłysły światła. Mój Boże, nawet do tego zagubionego na Lubelszczyźnie zakątka, potrafili dotrzeć... ekscentryczni Amerykanie. Mister Dale Bieber and Miss Judy Brown sprawili sobie tutaj wesele. Mistrz ceremonii trzymał następującą mowę do państwa młodych: „Nasz staropolski obyczaj nakazuje witać nowożeńców chlebem i solą. Wręczając wam dzisiaj takowe, w imieniu rodziców życzymy wam dużo szczęścia na nowej drodze waszego życia... Niech te stare mury zamkowe, gdzie przebywali książęta i królowie, natchną was do wielkich, szlachetnych czynów miłości do ludzi i umocnią więzy przyjaźni między narodami waszym i naszym".

Później weselny dziejopis z puławskiego IUNG-u, czy też Instytutu Weterynarii — bo obydwie te instytucje pomagały w organizowaniu wesela — odnotował w pamiątkowej księdze zamkowej: „Było przyjęcie na sześciu stołach dużych; na rożnie pieczony cielak, torty, toasty itd., pogoda była bardzo ładna, było przyjemnie i wesoło; była na krużgankach orkiestra i uroczystość weselna łącznie z zabawą i tańcami trwała od 16.30 dnia 27.VI. do 3.00 dnia 28.VI. Na ogół wszystkim bardzo podobało się i byli zadowoleni. Amerykanie byli oczarowani tradycjami staropolskimi. Współpraca pomiędzy naukowcami polskimi i zagranicznymi pogłębiła się".

Zyskaliśmy więc jeszcze jedną formę pogłębiania współpracy naukowej między narodami — przy pomocy organizowania wesel w ruinach. Cóż, ostatecznie nie najgorszy pomysł...

Musiał pan Leon Kozłowski, krążąc w ową noc z kielichem wina wśród weselnych gości, wspominać czasy świetności janowieckiego zamku, musiał dokonywać obrachunku czterdziestoletnich swoich tutaj rządów — ambicjonalnych zrywów i goryczy poniesionych klęsk, najczęściej zaś chyba wybiegał myślami w przyszłość, ku temu, co stało się już jedyną jego ambicją: przekazania starych murów w odpowiednie ręce, ludziom lub instytucjom, które zajęłyby się zabezpieczeniem walących się murów, a może nawet... może postarały się o „zasiedlenie" ich. Niekoniecznie przez odbudowywanie zamku, ale przez odpowiednie zagospodarowanie przyległego terenu, urządzenie zharmonizowanego architektonicznie z dawną magnacką siedzibą ośrodka wczasowego. Wszak, jak sam pisze w informacji o swojej posiadłości: „...jest tutaj mikroklimat i wspaniałe warunki wypoczynku oraz oderwania się od hałasów i powietrza zanieczyszczonego, miejskiego. Na stokach wzniesienia parkowego doskonale można się opalać. Widok na dziesiątki kilometrów. Do Wisły około 300 metrów. W sadzie zamkowym są morele, brzoskwinie, orzechy włoskie, czereśnie, jabłka, grusze, śliwki, renklody, róże i masa ziół i zieleni".

Był czas, kiedy przed zamkiem rysowała się lepsza przyszłość: istniały duże możliwości odkupienia „dziedzictwa" pana Kozłowskiego przez puławskie „Azoty", które wybudowałyby tutaj dla siebie wielki ośrodek wypoczynkowy. Tak uratowała zamek w Baranowie tarnobrzeska „Siarka". Ale jeszcze raz ambicje odbiły się na losach starej budowli: ambicją „Azotów" było wybudowanie ośrodka tylko w Kazimierzu i nigdzie indziej. Miała odkupić zamek Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie. Posiadłość została oszacowana na półtora miliona złotych. I na ten temat od długiego czasu panuje cisza. Taki zamek jest niewygodny. Zaczął już być niewygodny dwieście lat temu...

*

Z rogu komnaty, z ciemnego tła obrazu, patrzy na mnie dziewczyna z legendy; ma wielkie oczy, gładko przyczesane czarne włosy, na jej ustach błąka się trochę zrezygnowany, trochę zagadkowy uśmiech. Starszy, siwy pan chowa nagle twarz w dłoniach: „co począć z tym zamkiem, proszę łaskawego pana, co począć... Ja już tak chcę świętego spokoju — Boże drogi"...

Mirosław Derecki

Jan Bolesław Ożóg

On

Mój dobry Boże,
pod jamę twoją
przez cały dzień z plecakiem szedłem w knieję.

Powiedz mi tylko, gdzie diabeł ma młode?

Chodzę jeszcze za twym śladem,
ale co się urodziło,
już bez ciebie rośnie mi i obumiera.

Przez ogrody

mróz obdziera trzeźnie i jabłonki
z kwiatów i jabłuszek z lekka już zarżłowionych.

Gdzie diabeł ma młode?

I tobie toczy się los gdy niby kamień pod wodospad
i w lecie, jak szpak zmokły,
głowę wpychasz,
przepędzony i wzgardzony,
w dziuplę dzikiej lipy.

Mój dobry,
kobieta wczoraj opuściła męża,
syn ojca zabił,
zgwałcił siostrę.

W tym miejscu na polanie
twa matka wysoka jak obłok i biała
piecze ci chleb na kamieniach,
lecz bies czarny nocą wpada i chleb kradnie.

Powiedz mi przeto, gdzie diabeł ma młode?

Pokaż w korzeniach ślepych dębów.
dzikie gniazdo,
gdzie Staremu młode rosną.

Marsz

Szosa asfaltowa, gładka, miękka od żaru pochodu. Posuwa się po niej marszem Bóg obcej armii. Słychać miarowy stuk podbitych butów, widać ciemne i szerokie plamy potu na bladozielonym drelichu. To od gorączki przerażenia a może i niepewności. Czako tego samego koloru na ogorzałej twarzy, dobrze ogolonej i gładkiej, bo pora wczesna i działa dopiero grać zaczęły. Na ramionach żołnierzy batalionów pepesze w okładzinach z drzewa jesionowego drżą drganiem nieswoim. Na pasach kabury i gruszki granatów jak ugotowane. Fioletowa woń lip rozkwitłych po bokach gościńca, stojących tu od chłopskiej niepamięci — unosi się tylko na mokrym szalu wiatru ponad szeregami. Słońce zalewa oczy żołnierzykom. Niebo jest całe czerwone. Jak fala krwi na piersi zabitego już od czoła towarzysza. A ziemia? Obca, obca, bardzo obca. Tak dla chwata radogosta jak i śmiertelników. Ziemia się otwiera właśnie. Już bez szpadla rowem bocznym. Lewym, prawym.

Już nie wróci się granica.

Andrzej W. Guzek

Cień

Zbłąkane tu echo jest cieniem nazbyt raptownie uciętego krzyku
Ostrzem
które na białej równinie piersi
coraz zawilej drąży szyderczy tatuaż
i powieki do powiek
ciężkim akordem przybija na koniec
jak trumnę spojrzenia

A ty oto
już bez klasycznego chitonu
i maski
i wzniosłych koturnów kłamstwa
Nagi tak
przez suche liście porzucone drzewo
albo kamień oderwany od skały
Leżąc pod pękniętym skrzydłem chmury
jeszcze dotykiem tylko śledzisz mosiężną strunę
światła
które tak przeciągle
i długo
mija

Lębork

Wojciech Zeidler

*
* *

jest tradycja czynami palić tło i d e a ł o m
jak treści i d e a ł ó w znaczą to co znaczą
nie to na czyją niwecz zostały użyte
jak korzyść z i d e a ł ó w świadczy za czynami
albo sprawa co czynić pozostaje inna

żeby tymczasem poczuć przeżycie wolności
jeden w pęta drugiemu szepce o wyborze
dawno wzniesiony trzeci milcząc o przyczynie
obcym dla nich językiem każe pieśń zwycięstwa

a dni które nadejdą znaczyć będą co znaczą
i będzie że czyn po myśli zostanie logiką dziejów
jeżeli wszystko co przeszłe tylko prochami milionów
przeciw historii świadczyć nie zmartwychwstaną umarli

milczenie nas otula jak matka swym ciepłem
na cześć i pohańbienie spojrzeń prosto w oczy

Warszawa

DZIAŁANIE JAKO SZTUKA

Fot. R. Maron

TYM razem nie będę analizował, interpretował, dzielił na elementy i szukał ideowych uzasadnień dla tego wszystkiego, co działo się 3 lipca między godzinami 11 a 14 przed i w sali lubelskiego BWA. Można bowiem to wszystko przekreślić jednym zdaniem — ja tego nie uczynię — można też, przy uważniejszym spojrzeniu, dostrzec w owym pokazie propozycję sztuki jako totalnego działania, ciągłej aktywności, niekoniecznie realizowanej poprzez materialne dzieło czy stosowny rekwizyt. Ale takie widzenie pokazu wymaga głębszego uzasadnienia, na co nie pozwalają skromne ramy felietonu. Ograniczam się więc do przedstawienia harmonogramu imprezy, do spełnienia powinności czysto kronikarskiej. Poszczególne fotografie mniej więcej odpowiadają punktom rejestru.

Godz. 11: prezentacja prac absolwentów warszawskiej ASP — Tadeusza Baranowskiego, Sławomira Blattona, Andrzeja Byry, Jana Dobkowskiego, Antoniego Falata, Tomasza Kawiaka, Krzysztofa Zarębskiego i Jerzego Zielińskiego — na ulicy Narutowicza, dziedzińcu, korytarzach i sali BWA.

Godz. 11.30: głośne zachęcanie przechodniów do porzucenia zajęć zawodowych, wypoczynku, rezygnacji ze siesty — i do pojawienia się przed i w sali BWA.

Godz. 11.45: witanie dostojnych gości, zmierzających we wskazanych kierunkach.

Godz. 12: opuszczenie przez artystów posterunków koło latarni przed budynkiem BWA, ogłoszenie otwarcia pokazu i zdjęcie kapsli z butelek piwa „Pełnego" (kilka skrzynek).

Godz. 12.15: czytanie manifestów artystów — „Moje malarstwo jest pornograficzne" K. Zarębskiego, „Jestem więźniem tradycji" S. Blattona, „Nie istnieje miejsce Galeria, Sala Wystawowa, BWA" T. Kawiaka — oraz zachęcanie publiczności do przetaczania, przeciągania i wynoszenia prac.

Godz. 12.20: wniesienie dywanu kierownika BWA, Adama Kaczmarskiego, i rozpoczęcie popisu hatha — joga z włączeniem publiczności do wykonywania poszczególnych figur („kwiatu lotosu" etc.).

Godz. 13: otwarcie symbolicznego szampana i oblewanie nim publiczności, która przyjmuje to z wdzięcznością i i zrozumieniem.

Godz. 13.15: przetaczanie „Jabłka" J. Dobkowskiego, przeciąganie anatomicznie stylizowanej maty plastikowej oraz przetaczanie „Spacjostruktur" T. Kawiaka, co okazało się być dobrą zabawą dla wszystkich, nawet dla kilku panów z teczkami w dłoniach (zapewne „na delegacjach").

Godz. 13.30: publiczność zamiera w ciszy pod ścianami, bo oto zaczyna się taniec do obrazów w wykonaniu artysty scen polskich, Roberta Przybyłowskiego.

Godz. 14: w tym momencie następuje zakończenie pokazu, w sali pozostają elementy statyczne (m. in. obrazy), natomiast płaskie formy plastikowe i „Spacjostruktury" zjeżdżają na ulice Lublina, gdzie do 28 lipca będą eksponowane w wyznaczonych miejscach, co reguluje specjalna umowa, zawarta między artystą T. Kawiakiem z jednej strony a Biurem Wystaw Artystycznych, reprezentowanym przez kierownika, A. Kaczmarskiego oraz Andrzeja Mroczka, który w urządzenie pokazu włożył co najmniej tyle wysiłku, co sami artyści — z drugiej strony.

Nie jesteśmy żadną grupą, jesteśmy zespołem młodych malarzy, którzy się dogadali i zrobili pokaz. Prawdopodobnie w przyszłości, może bardzo bliskiej, rozejdziemy się. Ja nie jestem z żadną grupą, mam własne poglądy, odmienne często od poglądów moich kolegów, wystawiłem właściwie sam, wszyscy wystawiliśmy na własną rękę, na własną odpowiedzialność, indywidualnie, choć w zespole. Połączyło nas samo miejsce działania. To jest postawa najbardziej uczciwa — nie określajmy się... Nasze „Antybiennale" warszawskie wyłoniło przy tym 15—20 osób, które d z i a ł a j ą w sztuce polskiej! Z każdą następną wystawą selekcja będzie postępowała — może zostanie ośmiu, którzy mają w nosie chałtury i pokrewne sukcesy. Sztuka jest opozycją, całkowitą opozycją, przede wszystkim wobec członków Związku Polskich Artystów Plastyków. Nasza sprawa jest zupełnie świadoma.

Cytatem z rozmowy z Tomaszem Kawiakiem wypada zakończyć ten kronikarski zapis, jako że mamy do czynienia nie z efemerydą, ale właśnie z coraz szerszym zjawiskiem, charakteryzującym naszą współczesność artystyczną, animowaną wystąpieniem nowego pokolenia, przynajmniej przeczuwającego cele swego działania, rozumiejącego się przynajmniej na wspólnej płaszczyźnie negacji sztuki dotychczasowej. Na pewno ich wystąpienie wzbudza kontrowersje, czasami szokuje i irytuje, czasami może śmieszyć. Z kategorycznymi opiniami należy się jednak wstrzymać — żeby samemu się nie ośmieszyć. Nie ulega przecież wątpliwości: coś się zaczęło dziać, co przekracza obiegowe opinie o sztuce.

IJK

Kamena str. 6

Kolorowa gazeta

Dokończenie ze str. 1

nym poczuciem humoru i dowcipem, który kojarzy się tylko z inteligencją pierwszej próby. Jego pełnomocnika drukarnianego, akuszera z wykształcenia, zżerała powaga. Trudno powiedzieć, czy był taki sam w stosunkach kameralnych, ale de publicis celebrował rytualne niemal uwielbienie dla swej osoby. Otóż właśnie kapitan był uprzejmy ustosunkować się osobiście do „Gazety Lubelskiej".

Powodem do rozmowy stały się konkurencyjne — jeśli w ogóle można tak powiedzieć — zabiegi obu redakcji o miejsce w drukarni. Formalny stan rzeczy wykluczał wszelką rywalizację. „Rzeczpospolita" była dziennikiem oficjalnym, a drukarnia podlegała zarządowi państwowemu. „Gazeta Lubelska" nie miała tak wysokiej rangi, bo była tylko „niezależnym organem demokratycznym". Ale obok względów formalnych kształtowała się także sytuacja faktyczna, a wyglądała ona tak, że drukarze, którzy prawie padali na nos od przepracowania, zawsze znaleźli czas dla „Gazety Lubelskiej". Miała ona szczęście do drukarzy, ale pecha do pana kapitana, przeważnie bowiem tak się składało, że gdy ten wielkorządca drukarni, mało co lepiej wyposażonej niż oficyna Gutenberga, przybywał do urzędowania, trafiał na składanie rękopisów „Gazety", preser odbijał jej szpalty do korekty, a maszynista zakładał jej odlewy do druku, lub zdejmował po wydrukowaniu. Początkowo pan kapitan marsowo dziwił się takim harmonogramom, potem zaczął się denerwować, wreszcie doszedł do wniosku, że zasłuży się Ojczyźnie, jeśli zwróci uwagę swego zwierzchnika na podejrzane manewry redaktorów lokalnej — jak określał — gazety. Nie wiadomo, czy można wierzyć wieści gminnej, która rozgłosiła, że major odprawił kapitana z życzliwą radą, by uczył się od tych redaktorów, jak chodzić po drukarni. Dziś nikt już prawdy nie dojdzie. Mogło być tak, ale równie dobrze mógł te legendę puścić w kurs ktoś z licznych sympatyków „Gazety Lubelskiej". Tak czy owak, major nie przystąpił do rugowania tej gazety z drukarni. Kapitan zorientował się, że wypada wejść na drogę negocjacji. Nakład pisma, nad którego drukiem czuwał, zwiększał się, w drukarence stawało się ciasno. Trzeba było ułożyć współżycie z natrętnym sąsiadem. Sekretarz redakcji „Gazety" zasłonił się brakiem upoważnień do rozmów na temat objęty prerogatywą redaktora naczelnego. Spotkanie naczelnego „Gazety" nie było łatwe, bo ten jako „zabity" cywil nie chciał, zdaje się, spotykać się z oficerem, który nawet własne słowa ustawiał w dwuszeregu. Szczęście zbyt krótko trwa... Po dłuższym kluczeniu naczelny „Gazety Lubelskiej" wszedł na kapitana jak odyniec na muszkę sztucera. Zaczęła się rozmowa, której argument końcowy brzmiał w ustach kapitana:

— Pan redaktor przyzna, że ciężar gatunkowy naszego pisma jest niepomiernie wyższy od znaczenia waszej gazety.

Redaktor, Jan Dąbrowski, przyznał. Nie miał nic innego do zrobienia.

Tak zaczęła się nowa epoka w historii prasy polskiej. Trwała ona krótko i dziś mało kto wie o niej, bo w pamięci ludzkiej utrwaliły się inne sprawy. „Gazeta Lubelska" zaczęła drukować się na maszynach płaskich. Przejście było — rzecz jasna — cokolwiek przykre, bo druk rotacyjny jako synonim pośpiechu nadaje dziennikowi odpowiedni „fason", a maszyny płaskie są strefą wpływów czasopiśmiennictwa, którego dziennikarz liniowy unika, choćby musiał utrzymywać się z niego. Obok tego uszczerbku, raczej pozornego, „Gazeta" osiągała pewne korzyści. Przede wszystkim nie musiała dzielić się maszyną z inną gazetą, dokładnie: nie musiała czekać w kolejce do druku. Nakład „Rzeczypospolitej" rósł i w krótkim czasie doszedł do 60 tysięcy egzemplarzy. Maszyna rotacyjna w małej drukarni Szczuki przy ulicy Zamojskiej 12 (dziś ul. M. Buczka 12) była zajęta cały dzień pod druk tego nakładu. Z przejściem na druk na maszynach płaskich „Gazeta" zyskała większe możliwości techniczne, ale rychło ukazało się nowe niebezpieczeństwo. Po wydrukowaniu kilku numerów w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy drukarnia wyczerpała zapasy białego papieru arkuszowego. W magazynie leżały tylko remanenty różnokolorowych plakatówek. Kiedy sekretarz redakcji napomknął, że można by wykorzystać je do drukowania „Gazety", redaktor naczelny żachnął się i odwrócił z obrzydzeniem od tej kolorystyki. Gust gustem, a sytuacja była jednoznaczna: papieru na dziennik brakowało.

Następnego dnia „Gazeta Lubelska" ukazała się na papierze różowym. Numer kolejny był zielony. Czytelnicy zaczęli przywiązywać do kolorów wymowę polityczną, a gdy ukazał się numer niebieski, nastąpiło istne polowanie za gazetą.

Tak to tęczowe edycje nie sprawiły kłopotu, spopularyzowały gazetę i stały się początkiem koniunktury. Było to tak. Do wyposażenia technicznego redakcji wchodziły jedynie: rozklekotana maszyna do pisania marki „Erika" i pięciolampowy odbiornik radiowy „Telefunken". Sfatygowany portable przechodził w redakcji z rąk do rąk, a superheterodyna stała w pokoju, który nosił szumną nazwę gabinetu redaktora naczelnego. Ten sprzęt przysporzył redakcji wiele pożytku.

W prawym skrzydle budynku, którego lewe skrzydło zajmowała „Gazeta Lubelska", a front „Rzeczpospolita", mieściła się zaraz po wyzwoleniu Lublina kwatera dowództwa formowanej właśnie Drugiej Armii Wojska Polskiego. Pewnego wieczoru przyszedł do redakcji „Gazety Lubelskiej" oficer zatrudniony w tym dowództwie. Ze względu na tajemnicę wojskową nazwisko można pominąć. Redaktor naczelny i sekretarz redakcji akurat słuchali komunikatu. Oficer też posłuchał, a następnie rzekł melancholijnie:

— Wy to przynajmniej macie porządny aparat i możecie posłuchać wiadomości, a nam wstawili taką gangrenę... Zamieńmy się, redaktorze.

Dąbrowski, człowiek układny, zgodził się na propozycję pod warunkiem, że transakcję przeprowadzi według uznania Adam Panasiewicz. Ten przystąpił do działania. Poszedł do dowództwa lokalu skąd wrócił prawie biegiem i zaczął w pośpiechu wyjmować wtyczki z kontaktu. Zanim obecni w pokoju zdążyli zorientować się, Adam wspólnie z żołnierzem potaszczył pudło radia do drugiego skrzydła budynku, stamtąd zaś wrócił mniej więcej po kwadransie na czele czterech żołnierzy, którzy dźwigali olbrzymią i — jak było widać — ciężką skrzynię. Okazało się, że jest to siedmiozakresowy aparat całkowicie zdatny do użytku. Panasiewicz na pierwszy rzut oka zorientował się, co jest warta ta zdobycz na Niemcach. Wszyscy byli zadowoleni: oficer, bo miał aparat do słuchania wiadomości, a Panasiewicz miał przy czym nareszcie pracować.

Adam Panasiewicz, który ocalał z Majdanka, był zaraz po wyzwoleniu jednoosobową instytucją, łączącą w sobie nasłuch radiowy i agencję prasową — oczywiście w granicach możliwości jednej osoby. Możliwości były takie, że Adam Panasiewicz, przedwojenny radiotelegrafista Polskiej Agencji Telegraficznej, odbierał depesze z prędkością dwustu znaków na minutę i z równą prędkością je zapisywał. W ten sposób powstawał w ciągu godziny mniej więcej siedmiostronicowy biuletyn. Był on przeznaczony dla „Rzeczypospolitej". Jerzy Borejsza zgodził się, by „Gazeta Lubelska" również z niego korzystała. Kiedy redaktor major przebywał w redakcji, było pół biedy. Wtedy jego podwładni nie wzniecali kurzu. Panasiewicz udostępniał swój elaborat bratniej gazecie. Borejsza coraz częściej i coraz dłużej znajdował się poza swoją redakcją, gdy mu zaczęło przybywać zajęć organizacyjnych i politycznych. Wtedy Panasiewicz i redakcja „Gazety Lubelskiej" działali trochę na zasadach konspiracji. Udostępnienie Panasiewiczowi wysokiej klasy aparatu, który był własnością „Gazety Lubelskiej", stwarzało odmienne okoliczności „Gazeta" uzyskała pełne prawo dostępu do serwisu Panasiewicza.

Adam Panasiewicz zapisał się jako odrębny rodział we wspomnieniach sprzed ćwierćwiecza. We wrześniu 1944 sprowadził się do Lublina z Moskwy „Polpress". Był on do tej pory agencją prasową Związku Patriotów Polskich, nastawioną głównie na informowanie zagranicy. W kraju zaczął przekształcać się i z czasem powstała z niego Polską Agencja Prasowa PAP. Możliwości techniczne i redakcyjne „Polpressu" nie były w jego epoce lubelskiej zbyt wielkie. Borejsza nie chciał uzależniać „Rzeczypospolitej" od obcego, jej zakładowej instytucji, stworzył więc własną agencję, to znaczy wszystko pozostało po staremu: Adam Panasiewicz przyjmował depesze, Edmund Rosa tłumaczył je na język polski, a redakcje obu dzienników brały do publikowania. Nawet nazwy nikt nie zmieniał. Zdaje się, że redaktor Dąbrowski powiedział kiedyś:

— Adam Panasiewicz informuje...

Z tego powiedzonka powstał skrót API. Później ludzie ze zdolnościami do szarad zaczęli ten skrót odczytywać jako kryptonim nazwy: Agencja Publicystyczno-Informacyjna. Ta nazwa podobno odpowiadała charakterowi agencji. Może tak było. Z czasem rozwinęła się ona w sporą instytucję, ale to już były dzieje późniejsze. Początkowo był tylko jeden Adam Panasiewicz, któremu należałoby nadać honorowy tytuł dziadka polskich agencji prasowych.

Wiktor Bazylewski

List znad Wisłoki

PANIE Redaktorze! Nareszcie pada deszcz, ochłonąwszy więc nieco po upałach, postanowiłem napisać do Pana list z wczasów, spędzonych samotrzeć, wg własnego wyboru, w pomieszczeniach prywatnych, a zwanych „pod gruszą".

Nie siedzę jednak pod gruszą, jak wynikałoby z nazwy, lecz w malowniczo położonych na wzgórzu, okolonych Wisłoką, Kołaczycach.

Pogoda tu upalna (wg prognoz Wicherka najcieplej w Polsce), żmije też są, co nie przeszkadza zażywać prawdziwego wypoczynku na nieskalanym łonie natury. Krajobraz przypomina nasze Roztocze. Wzniesienia są jednak wyższe, bardziej pofałdowane, jarów i wąwozów więcej, lasy mieszane i szpilkowe, a Wisłoka wyjątkowo w tym roku nie została zatruta chemikaliami „Gamratu" ani ropą rafinerii jasielskiej.

Ryb jest więc sporo, za to zaopatrzenie sklepów słabe. Trudno się temu dziwić, jeśli nawet codziennej prasy w jasielskim „Ruchu" nie można dostać o godzinie 9 rano. Porównanie więc zaopatrzenia z naszym Zwierzyńcem na przykład, nie wytrzymuje krytyki. Choć i tu i tam rządzą GS-y. Tutaj jedynie restauracja „Podzamcze", w pobliżu ruin historycznego zamku Goleszo, cieszy się zasłużoną sławą. Można w niej delektować się m. in. pstrągiem z rusztu. Nic więc dziwnego, że stała się mekką turystów, zwłaszcza Polonii amerykańskiej odwiedzającej latem swoje rodziny.

Historia przeplata się tu z teraźniejszością.

Kołaczyce słyną z dobrych tradycji szewskiego rzemiosła. Dzisiejsi szewcy, których dziadkowie sprzedawali swe buty wyprawiając się przez przełęcz Dukielską do Czech i Moraw, zrzeszyli się w Spółdzielni Branży Skórzanej, stanowiącej dziś o dobrobycie Kołaczyc. Zautomatyzowana metoda produkcji pozwala — przy zatrudnieniu ponad 200 osób — produkować miesięcznie przeszło 2000 par wysokiej jakości obuwia, które wędruje za granicę, m. in. do ZSRR i USA, czasem można je spotkać także w naszych lubelskich sklepach. Prywatni szewcy sprzedają nadal swe wyroby na okolicznych jarmarkach.

Charakterystyczne, że każdy szewc zna historię Kołaczyc i opowiada z dumą, jak to już w 1339 roku Kołaczyce były miastem, któremu Kazimierz Wielki nadał prawa magdeburskie. Aspiracje mieszkańców urzeczywistniły się w 25-leciu PRL. Pęd do nauki znalazł wyraz w zorganizowaniu już w 1945 r. liceum ogólnokształcącego, któremu wybudowali kołaczycanie jeden z najokazalszych w Rzeszowskiem budynek z internatem, salą gimnastyczną i boiskiem sportowym.

Liceum kołaczyckie obchodziło właśnie swój jubileusz. Wśród wychowanków jubilata obecni byli m. in. docenci z UJ, ambasador, minister. Wygłoszono mądre referaty o etymologii nazw okolicznych miejscowości oraz dorobku wielkiej polskiej uczonej Marii Skłodowskiej-Curie, której imię przyjęło na jubileusz kołaczyckie liceum.

Doskonałe warunki rekreacyjne Kołaczyc i okolic, występujące tu źródła wody żelazistej, solanki i siarkowe nie są prawie zupełnie wykorzystane. Mówi się, że Kołaczyce to kurort przyszłości. Na pewno tak. Posiada bowiem te same warunki co Iwonicz czy Rymanów. Na razie jednak jedynie internat liceum wykorzystywany jest na kolonie dzieci pracowników z przemysłu skórzanego z całej Polski.

Ja sam, Panie Redaktorze, zamieszkałem w starym zabytkowym domu, o murach grubości prawie metra, będącym niegdyś karczmą przy trakcie wiodącym na Kraków... Stąd może ciągotki do historii w tym liście? Mieszkam w dzielnicy zwanej pięknie i prawdziwie — Wygoda. Wcale tu wygodnie, bo i źródlana, niechlorowana woda jest i gaz podłączony. Życzyć by takiego ciśnienia gazu Lublinowi. Tylko ze światłem są problemy. Po każdorazowej burzy gaśnie, a korzystający z prądu skazani są przez elektrownię jasielską na indywidualne skakanie po słupach i wymianę spalonych tam bezpieczników. Czegóż nie robi się jednak dla światła, bez którego nie napisałbym tego listu?

A z mieszkaniem to problem coraz trudniejszy. Nic dziwnego, jeśli w sąsiednich domach sypią się jak z worka wesela. I to jakie — „ach, co to był za ślub", chciałoby się zakrzyknąć na widok 40 par. I znowu rzecz charakterystyczna: orszak weselny wyrusza w takt marsza „Wojenko, wojenko", zaś ucztа weselna kończy się o świtaniu nie żałosnym „Góralu, czy ci nie żal", lecz graną przez dętą orkiestrę i śpiewaną resztą sił weselników pieśnią „Rozszumiały się wierzby płaczące".

Nie lubią tylko kołaczycanie zawołania rzucanego pod ich adresem — „sprzedajcie wąsy".

Podanie głosi, że kiedyś przez Kołaczyce przejeżdżał szlachcic, który uważał, że za pieniądze wszystko można kupić. Spodobały mu się niezmiernie wąsy pewnego mieszkańca miasta, które chciał koniecznie zdobyć. Wybuchła kłótnia, w wyniku której dotknięty do żywego mieszczanin obciął wąsy zarozumiałemu szlachcicowi.

Jerzy Jedziniak

Krzyżówka nr 16

POZIOMO:

1. autor „Boldyna", 6. kobieta wzięta do niewoli, 8. austriacki kompozytor operetek o francuskim nazwisku, 9. miasto powiatowe w woj. rzeszowskim, 11. okrywają szyje, 12. francuski następca tronu, 15. ponadto ją dziadek, 17. poszłek bóstwa, 18. przepływa przez Frankfurt, 20. tekst przysięgi, 21. współzawodnicy, 22. powieść o 1939 roku i poziomo, 23. półwysep między Morzem Czerwonym i Zatoką Perską, 26. artykuł literacki, 28. flolet, 29. środek łączności, 30. powóz z buda rozkładaną w dwie strony, 31. mocne piwo angielskie, 32. imię rysownika „Ekspresu Wieczornego", 33. dźwięczą i błyszczą w czasie fechtunku, 34. w oponie, 39. miasto w Piemoncie, 40. powieść i poziomo o postępowych organizacjach na Uniwersytecie Wileńskim.

PIONOWO:

1. powieść i poziomo, 2. robi miękkie meble, 3. pisemne zaświadczenie o ukończeniu zakładu naukowego, 4. szkoła filozoficzna VI—V w p.n.e. zapoczątkowana przez Ksenofanesa z Kolofonu, 5. miasto w Hiszpanii, dawna rezydencja królów Kastylii, 6. pisarz rosyjski, autor „Armii konnej", 7. teren nisko położony, 10. wydany w Lublinie w 1944 roku zbiór wierszy i poziomo, 13. znany dramat Sofoklesa, 14. port i kąpielisko we Włoszech nad Morzem Liguryjskim, 16. posiadłość, 18. koniec ręki, 21. polityk amerykański, laureat pokojowej nagrody Nobla w 1929 r., 23. wodorosty, 24. pisarz współczesny, autor cyklu „Listy do pani Z.", 25. znane kąpielisko morskie w Belgii (wspak), 27. wybrany, ale jeszcze nie objął stanowiska, 31. napad, 33. siedzi w teatrze lub kinie, 34. rzecz zdumiewająca, 36. włoski pieniądz, 37. zbudował arkę.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

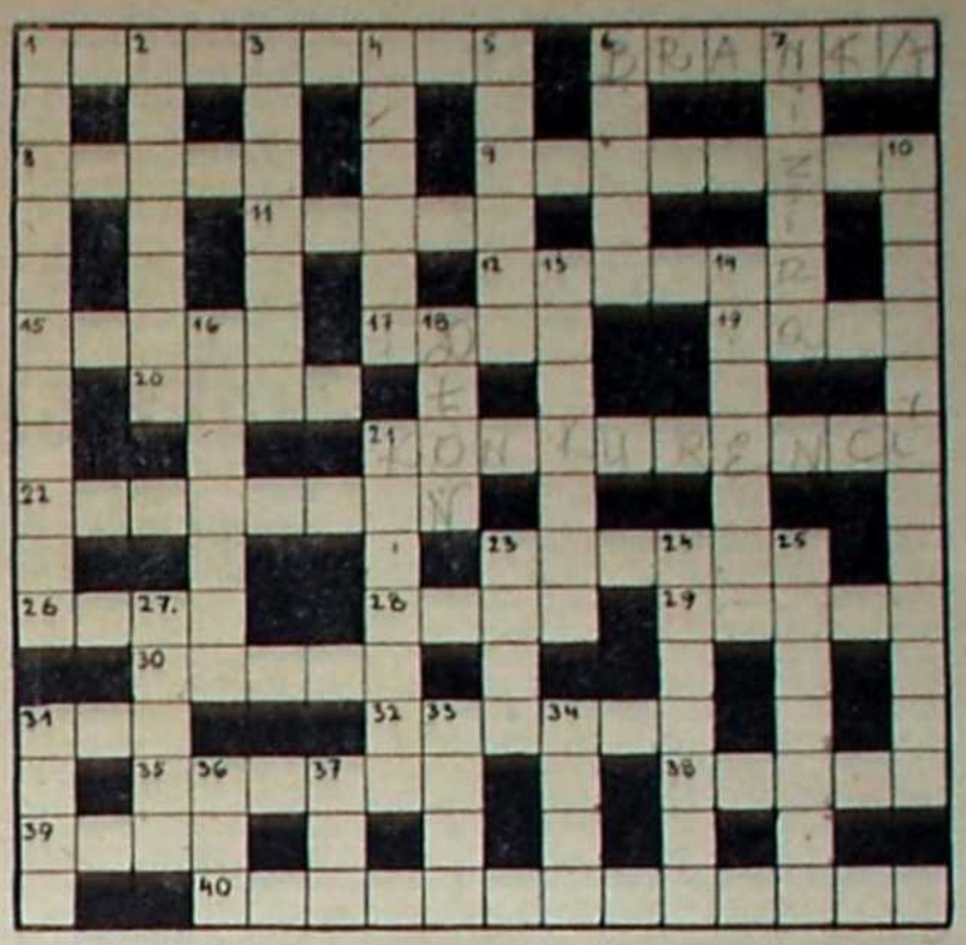

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14

POZIOMO:

Stefan Żeromski, Kateria, Zych, Stolica, opinia, Ikar, Erie, konik, kawior, Danse, Gopło, piwo, iarum, Przedwiośnie, Adaś, osie, jaguar, Nałęczów, walc, zapusty, karawana, faktor.

PIONOWO:

stator, elegie, Niasa, żyroskop, region, mozaika, Kaczawa, pieprz, Ina, erg, Orion idole, kord, wici, Neruda, miś, roszada, esencja, Wisłoka, otoczka, Iława, August, Arktur, Józef.

Za rozwiązanie krzyżówki Nr 14 nagrody wylosowali: Michalina Libucha, Pow. i Miejska Biblioteka Publiczna, Strzyżów nad Wisłokiem, woj. Rzeszów; Witold Czachorowski — Lublin, ul. Skłodowskiej 52 m.1; Bohdan Bisikiewicz, Wrocław, ul. Rejtana 8 m. 5; Anna Nawrocka, Lublin, ul. Trybunalska 21 m. 6 B.

Harcerski zamek

OD świtu do późnej nocy komendant Zenon Sosnówka dogląda swojego zamku. Rozmowy telefoniczne, transporty żywności, roboty wykończeniowe, spotkania z gośćmi, robotnikami, kadrą obozową.

Znajduję się w nowo zbudowanym Ośrodku Wypoczynkowym ZHP, na malowniczym wzgórzu nad zalewem w Zaklikowie. W lipcu 1968 r. zaczęto kosić trawę i kłaść fundamenty, a już 21 czerwca 1970 r., czyli po niecałych dwu latach, oddano ośrodek do użytku.

Jest to solidna budowla o dwu i pół kondygnacjach, z których pierwszą wykonano z czerwonej cegły palonej, a następne z białej, silikatowej. Okna obramowano szarym granitem; stylizacja na średniowieczny zamek rycerski. Obok baszta o sześciu kondygnacjach, z których dwie dolne są z szarego granitu, pozostałe z cegły silikatowej. W przyszłości będzie się tu znajdowała kawiarenka i parę pokoi gościnnych.

Na wewnętrzny dziedziniec, który od południa i wschodu osłania gmach, a od zachodu i północy baszta wraz z krużgankiem, wchodzi się przez bramę z jasnego dębu. Nad bramą — strażnica, z której harcerze mogą obserwować zbliżających się do wejścia.

Gwarno tu. W ośrodku znajduje się 250 osób, z tego 150 ma pomieszczenie w zamku, a 100 pod namiotami. Dziewczęta i chłopcy w mundurkach mają tu dobre wakacje. Słońce, woda, las, piasek i wygodne kwatery, niezłe, urozmaicone wyżywienie i staranna opieka instruktorów, ratownika wodnego, lekarza. Nauka pływania, kąpiele wodne i słoneczne, gry zespołowe, wycieczki do lasu, ale i nieco pracy, jak to na obozie harcerskim. Zabawy, prowadzone z humorem przez podharcmistrza A. Adamiaka, są uwielbiane przez dzieci.

Budowla kosztowała 6 milionów złotych nie licząc robocizny, która w większości była czynem społecznym mieszkańców powiatu. Wszystkie zakłady pracy z powiatu kraśnickiego włożyły tu swoje cegiełki. Było to możliwe dzięki skoordynowaniu akcji przez Komitet Powiatowy PZPR w Kraśniku Lubelskim. Powołano Społeczny Komitet Budowy Ośrodka, któremu przewodniczył mgr Stanisław Kucharuk. Stroną techniczną zajął się dyrektor Jan Widomski z PRB w Kraśniku.

Rozmowę moją z komendantem Z. Sosnówką przerywa przyjazd przewodniczącego PPRN w Kraśniku, mgr Mariana Staronia, który należy do serdecznych opiekunów ośrodka, podobnie jak Jan Wójtowicz i Władysław Zbylut — sekretarze KP PZPR.

Idę zwiedzać zamek, oprowadzany przez drucha Adamiaka. Chlubą ośrodka jest Sala Rycerska z dębowymi stołami, kasetonowym sufitem, bukowym parkietem, kutymi w kształty harcerskiego krzyża żyrandolami, które zostały wykonane bezpłatnie w ramach egzaminu rzemieślniczego. W rogu prawdziwy kominek, gdzie będą płonąć strzelające żywicą polana. Brązowe boazerie z kinkietami i krzesła, które Fabryka Mebli Giętych w Zwierzyńcu robi tylko dla USA i Kanady. A jednak tu się znalazły.

Jest sztandar Hufca otrzymany od Powiatowej Rady Przyjaciół Harcerstwa 21 czerwca 1970 r. Inny dar — od Wiktora Kineckiego — kosa kosynierów krakowskich.

Sala Rycerska znajduje się na parterze, jest tu również kuchnia i dziesięć czteroosobowych pokoi gościnnych. Według początkowych planów miał być tylko parter z wysokim strychem, ale gdy akcja rozwinęła się, podniesiono budynek jeszcze o półtorej kondygnacji. Na piętrze urządzono jadalnię, umywalnie, wieloosobowe pokoje gościnne, separatki dla chorych, pokój lekarza. Wysoki strych pod piękną czerwoną dachówką (esówka holenderska) wykorzystano na letnie pokoje, brak tu bowiem centralnego ogrzewania i izolacji cieplnej.

Krużgankiem z żelaznymi balustradami, w których biegną cyfry i litery: 1969 PRL, a dołem krzyże harcerskie, można przejść do baszty. Ze szczytu roztacza się tego pogodnego dnia panorama ziemi zaklikowskiej: lasy sosnowe, meandry rzeki Sanny, zalew, pióropusz lokomotywy nieruchomy w oddali, wydmy, które bliżej jesieni porosną wrzosami, chudy komin tartaku ze zwałem trocin, ogromne lipy Antoniówki i leśny hełm Dąbrowy. Asfaltową drogą prowadzącą do zamku (czyn społeczny PZDL, którym kierował inż. Z. Dudek) maszerują harcerze z piosenką.

Marek Żenni

Książki nadesłane

„Czytelnik" 1970

Leokadia Barańska, Barbara i ja. Debiut autorki. Powieść o życiu współczesnych kobiet. Cena — 10 zł.

Maria Dąbrowska, Gwiazda zaranna. Zbiór wspomnień znanej pisarki. Wyd. V. Cena — 10 zł.

Elizabeth Gaskel, Panie z Cranford. Najwybitniejsza książka pisarki angielskiej, zmarłej w 1865 roku. Tłumaczyła A. Szpakowska. Cena — 14 zł.

Zofia Nałkowska, Romans Teresy Hennert. Głośna powieść znanej pisarki. Wyd. VI. Cena — 10 zł.

Juan Faris, Kopalnia wody. Autor jest młodym pisarzem hiszpańskim. Przez pewien czas przebywał na Wyspach Kanaryjskich, gdzie pracował w różnych zawodach, co zostało utrwalone właśnie w tej powieści. Przekład — K. Wojciechowska. Cena — 12 zł.

Jan Szczepański, Czarne Wampumy głoszą wojnę. Opowieść o przebiegu wojen indiańskich ciągnących się od chwili pierwszego lądowania Hiszpanów na Florydzie w r. 1513 aż do r. 1890. Cena — 15 zł.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Pora wakacyjna, więc garsteczka refleksji p. K. Ł. z Bielawy, z porą ową związanych. Ponieważ autor jest członkiem Klubu Empigonistów — sam Prezes nam się przypomniał. Ej, Prezesie, nie róbcie sobie satyrek, tylko wiersze wakacyjne piszcie, jak szeregowy członek Waszego towarzystwa:

WĘDKARZ

Męczą się
ludzie
a ten pokraka
biednego
nadział
na hak
robaka
z pól
chleb zbierają
w trudzie niemałym
a on
bezmyślnie
wbił
w korek
gały
rybka jest dobra

ŻNIWA

Żniwa
brakło piwa
pod śliwą
dziwa
niezbyt wstydliwa
se odpoczywa

I tak znaleźliśmy się w kręgu urlopowej erotyki. Tym więcej, że poczynają już napływać coś jakby wspomnienia z wakacyjnych pobytów — a może tylko wizje przyszłościowe p. K. P. z Kokanina:

ROZJĄTRZENIE

A jak będę znów
na urlopie w Karpaczu,
już nie będzie snów,
które pustkę wyznaczą.

Zapewne myślisz sobie:
o tobie myślę ja.
Jeszcze jestem sam,
zapominam o nas.

Moja miła!
Już nie warto tak
marzyć o czymś, o niczym.
Nie dostrzegasz wszak
obiektywnych przyczyn.

Po co ci będę, miła,
tłumaczył dzisiaj się.
Nie wolno,
nie przyznaję się,
że to wina jest ma!

Na jesieni to się dopiero posypie. Czołem, obywatelu Empigoński, nie zasypiajcie gruszek w wakacyjnym ognisku!

Sprostowanie

Do zamieszczonego w n-rze 16 „Kameny" wspomnienia K. A. Jaworskiego, O Konradzie Bielskim wkradły się trzy błędy: w wierszu 44 i 45 od góry zamiast: „pierwsze słowa niebezpiecznej młodzieńczej deklamacji" powinno być: „d e k l a r a c j i"; w wierszu 38 od dołu zamiast „pozostawił u nas pewien niedosyt" powinno być: „w nas". No i „druhu" pisze się przez h, a nie ch, jak wydrukowano.

Przepraszamy Autora i Czytelników. (Red.)

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch" Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-92, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

L.ZGraf. Zam. 2613 29.07.70. 6.6000 Z-7

Drukarskim szlakiem

WYJATKOWOŚĆ tej pozycji nie ulega kwestii. Praca zbiorowa pod redakcją Stanisława Poznańskiego pt. „Drukarskim szlakiem" ukazała się w setną rocznicę narodzin Związku Zawodowego Drukarzy Polskich. Ale nie jest istotna w tym przypadku okazja, dla której wydano tę publikację, lecz fakt wypełnienia wreszcie odczuwalnego braku książki, która mówiłaby w sposób popularny i ciekawy o drukarstwie polskim. Znane są wcześniejsze pozycje książkowe dotyczące poszczególnych drukarń czy związków drukarskich w różnych miastach, a wydawane w okolicznościach rocznicowych. Trzy lata temu Związek Zawodowy Drukarzy Okręgu Warszawskiego uczcił wydawnictwem 75-lecie swego istnienia, a wcześniej, bo w 1965 r., w Bydgoszczy ukazała się pięknie wydana książka pt. „150 lat Zakładów Graficznych w Bydgoszczy na tle dziejów drukarstwa pomorskiego". Ale niskie ich nakłady i niedostępność na rynku księgarskim skazały z góry obie pozycje na niewykraczanie poza krąg braci drukarskiej.

„Drukarskim szlakiem" różni się od poprzednich wydawnictw. Jej nakład sięga 20 tys. egzemplarzy. A najważniejszym walorem książki jest to, że w sposób atrakcyjny omawia dzieje drukarstwa polskiego. Autorzy zajmują się historią drukarstwa na ziemiach polskich od czasów wynalezienia druku ukazując rewolucyjne zmiany w oświacie i kulturze narodowej, jakie niósł wynalazek Jana z Moguncji. Mając, rzecz jasna, na uwadze niecierpliwość współczesnego czytelnika, czynią to skrótowo i możliwie najprzystępniej. Czytelnik znajdzie tu omówienie narodzin i rozwoju ruchu rewolucyjnego wśród drukarzy w różnych regionach porozbiorowej Polski. Obszernie przedstawione są lata w okresie przedwojennym, szczególnie uwypuklono czasy okupacji hitlerowskiej, kiedy to polscy drukarze prowadzili pracę konspiracyjną na rzecz organizacji podziemnych. Tym sprawom poświęcona jest wypowiedź red. Michała Wojewódzkiego, który był kierownikiem tajnej drukarni TWZW (Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze) tzw. „Czwórki" w Warszawie. Wreszcie w kilku artykułach podano drogę odradzającego się drukarstwa w Polsce Ludowej. Autorzy dużo miejsca przeznaczyli na ukazanie rozwoju Związku Zawodowego Drukarzy w Polsce. Między innymi na ten temat wypowiada się wiceminister kultury i sztuki Kazimierz Rusinek w wywiadzie udzielonym red. Andrzejowi Szczypiorskiemu.

Łatwo czytelnikowi zorientować się na podstawie przedstawionego schematu tematycznego książki, że w „Drukarskim szlakiem" niepoślednie miejsce zajmuje Lublin, zwłaszcza z okresu bezpośrednio powojennego, kiedy to był pierwszą stolicą odrodzonego państwa. Lubelski cykl materiałów w książce otwiera artykuł Stanisława Poznańskiego pt. „W starej drukarni Czerniekich" omawiający historię chełmskiej drukarni „Zwierciadło", w której 22 lipca 1944 r. Jacek Zajączkowski, Tadeusz Maruszewski i Maria Sołska składali tekst Manifestu. O drukarzach lubelskich, secerze w LZG im. PKWN Alfredzie Szymczyku i zecerze w drukarni Pancernych, a później dyrektorze Wojskowych Zakładów Graficznych w Bydgoszczy, obecnie zaś zecerze LZG im. PKWN Kazimierzu Rosiaku, mówi artykuł zatytułowany „Droga wiodła przez Majdanek". Również lubelskiemu drukarzowi Bolesławowi Jaworskiemu poświęcony jest materiał pt. „Przy szpaltach Kalendarza Polskiego w Esztergomie". I jeszcze jedna pozycja dotycząca lubelskiego okresu — „Pakowy a na wagę złota" Mieczysława Ziemskiego. Autor omawia trudności zdobycia papieru i problemy techniczne w pierwszych latach powojennych.

W porównaniu z innymi regionami drukarstwo Lubelszczyzny jest w książce reprezentowane dość wszechstronnie. Niemniej już nie tylko gwoli zadośćuczynienia ambicjom regionalnym, ale z uwagi na przedstawienie pełnego obrazu rozwoju drukarstwa polskiego w okresie powojennym, należało wyraźniej i szerzej omówić okres 164 dni tzw. Polski Lubelskiej. Tu odradzało się drukarstwo polskie i dziennikarstwo. W ciągu ponad 5 miesięcy ukazało się w Lubelskiem grubo ponad 39 różnych tytułów pism centralnych i regionalnych. Ich nakłady były zróżnicowane, ale „Rzeczpospolita" biła swój tytuł w stu tysiącach egzemplarzy. Temu olbrzymiemu zapotrzebowaniu musiały sprostać lubelskie drukarenki, nie przystosowane całkowicie do tego rodzaju zamówień. Była przecież tylko jedna maszyna rotacyjna, załogi drukarskie zawierucha wojenna rozproszyła, a w ostatnich miesiącach okupacji Niemcy aresztowali i wymordowali wielu drukarzy działających w konspiracji. Brak ludzi, brak maszyn i brak materiału (papieru, farby) sprawiał, że wydawanie jakiegokolwiek tytułu było przedsięwzięciem karkołomnym. A mimo wszystko pisma wychodziły terminowo, głód na prawdziwe słowo polskie był zaspokajany, pojawiły się też (już w 1944 r.!) pierwsze książki polskie.

Zabrakło mi w „Drukarskim szlakiem" głębszego opracowania tych ciężkich dni rodzenia się drukarstwa w powojennym Lublinie. Widocznie jednak autorzy pracy obawiali się zmajoryzowania ilościowego materiałów lubelskich nad innymi. Dlatego też pewnie Stanisław Poznański pisząc o Bolesławie Jaworskim, który w czasie okupacji pracował w konspiracyjnych pismach polskich na Węgrzech, nie wspomniał, że jego bohater dziś jest linotypistą w Lubelskich Zakładach Graficznych im. PKWN.

Ogólnie książka ta jest pozycją bardzo cenną i potrzebną. Oprócz wymienionych już autorów swoje prace zamieszczają tu jeszcze: Ksawery Świerkowski, Władysław Uziembło, Adam Obarski, Jan Majewski, Edmund Osmańczyk, Piotr Józef Stolarek, Edmund Sobiszek. Wydrukowano też wiersze: Władysława Broniewskiego, Grzegorza Timofiejewa, Tadeusza Faszczewskiego i Krzysztofa Baczyńskiego. A całość jest świetnie opracowana pod względem graficznym przez Irenę Poznańską. W książce przekazano kilkaset reprodukcji zdjęć i dokumentów, wiele po raz pierwszy ujawnionych w publikacji drukowanej. „Drukarskim szlakiem" to piękny plon wydawniczy wspólnego wysiłku dziennikarzy opracowujących materiał i drukarzy nadających mu odpowiedni kształt.

Al. Leszek Gzella

DRUKARSKIM SZLAKIEM. W setną rocznicę narodzin Związku Zawodowego Drukarzy Polskich. Praca zbiorowa pod redakcją Stanisława Poznańskiego, s. 283 plus 5 nlb. Nasza Księgarnia 1978.

BIG-BEAT

Sprawy drobne pozornie

PANIE Redaktorze! Niekiedy przychodzę do lubelskiej kawarni — „Regionalnej", „Ratuszowej" czy „Lublinianki" — czuję się jak intruz, który mąci kamienny spokój pań kelnerek. Snują się po salach te zdetronizowane księżniczki z szybkością schorowanego żółwia, przyjmują zamówienia z takim wyrazem twarzy, jakby czyniły największą łaskę. I czy to ja jestem winien, że nie płyną one w wytwornym jachcie po Morzu Śródziemnym? Że nie pławią się w słońcu na Wyspach Kanaryjskich?

1 sierpnia wieczorem wpadłem do „Ratuszowej". Nie wszystkie stoliki były zajęte. Usiadłem przy ostatnim i czekam. Czekam 5—10 minut. Kelnerka sprząta naczynia. Jakże ona błyskawicznie(!) macha tą ściereczką, jak się przy tym „sympatycznie" uśmiecha!

Po 15 minutach zapytałem, jak mogłem najuprzejmiej:

— Może pani mi poda dwa napoje firmowe?

— Widzi pan przecież, że sprzątam!

Oj, widzę i diabli mnie biorą, gdy patrzę na to oszałamiające tempo.

Przy sąsiednich stolikach zjawili się nowi goście, kelnerka od wszystkich przyjęła zamówienia i wreszcie dotarła się do mnie. Później zniknęła na dalszych 10 minut nim wreszcie trafił na mój stolik ów nieszczęsny napój. W sumie trwało to wszystko z zegarkiem w ręku 35 minut.

Zapamiętałem numer tej lubelskiej Szewińskiej — 8. Sądzę, że mamy kandydatkę na Olimpiadę w Monachium. Trenuje zawzięcie!

29 lipca odwiedziłem inną kawiarnię — „Regionalną". Zamówiłem napój na miodzie. Napój miał jednak dziwny smak. Spojrzałem na datę produkcji: 30 czerwca. Na nalepce widniał napis, że płyn nadaje się do konsumpcji w ciągu 6 dni od dnia wyprodukowania. Czyli, że już 5 lipca wieczorem należało opróżnić butelkę. Ale ów napój podano mi 23 dni (słownie: dwadzieścia trzy) później! Może personel „Regionalnej" nie umie czytać? Wtórny analfabetyzm, czy świadoma chęć trucia konsumentów? Gdybym zamierzał zejść dobrowolnie z tego świata, wolałbym już cyjanek potasu!

W „Trybunie Ludu" przeczytałem: „Najwięcej narzeka się na zaopatrzenie miejscowości wczasowo — turystycznych w żywność i artykuły przemysłowe o znaczeniu turystycznym. Oto np. można bez trudu kupić wysokiej klasy motorówkę czy luksusowy namiot, ale brakuje zwykłych skarpet wełnianych, trampek, koszulek, dresów, dziesiątek drobiazgów, bez których jednak trudno się obejść."

Lublin nie jest miejscowością „wczasowo - turystyczną". Bez trudu dostaniemy tu lodówkę i telewizor, gdzie jednak można kupić bluzeczkę, podkolanka, tenisówki dla siedmioletniego chłopca? Opowiadała mi znajoma, że bezskutecznie szukała tych luksusów w całym mieście. Straciła pół dnia. „Czy lubelscy handlowcy — pytała rozżalona — żyją w stanie bezżennym i bezdzietnym? Czy po każdy drobiazg trzeba jeździć do Warszawy?"

Nie wiem. Ale może jest jakaś zmowa między lubelskimi handlowcami a lubelską dyrekcją PKP?

Sprawy drobne bardzo zatruwają nam życie. Cieszę się, że Lubelska Fabryka Samochodów Ciężarowych tak ładnie wykonuje plany produkcji, moja radość byłaby jednak pełniejsza, gdyby...

I tych „gdyby" zebrałbym tu na kopy, ale nie wierzę, aby po moim liście do Pana Redaktora cokolwiek mogło się zmienić.

Jacek

NOTY i notki

Szacowna „Kultura", kontynuując wytrwale ogórkowy temat, tym razem (nr 31) zamieściła opowiadanie Andrzeja Bianusza „Emilka, czyli teatr widowiskowy". Oto kilka nie najbardziej zresztą pikantnych określeń z tego opowiadania: „Przespać się też pewnie prześpi jakby co", „Podobno jak nie ma gdzie, to zawsze można w kostnicy", „Z ogórkiem w zębach i piórkiem w tyłku tańczył wyrwolony jazz z Zośką", „Kelnerka się zesłusiała" (inne później też). A wytworne słowo „kurwa" pojawia się zaledwie dziewięć razy, nie mówiąc o trzy razy wspomnianej „dupie" i kilku jeszcze podobnych perełkach polszczyzny, wyłowionych z rynsztoka.

Autora powyższego opowiadania (pamiętnika?), napisanego w wyniku pobytu w pewnym szpitalu, można zaprosić do Lublina. W barze mlecznym „Turystyczny" jedna z bufetowych w co cieplejsze dni ma na sobie wyłącznie biały fartuszek z rzadkimi i nie zawsze zapiętymi guzikami z przodu. Niemal prawdziwy topless. Temat, w połączeniu z tym, co się dzieje w pobliżu — w pierwszej sali kawiarni „Regionalna" i we wnętrzu oraz przed barem „Litewskim", znakomity. Autor znajdzie tam aurę, dzięki której będzie mogło powstać jeszcze bardziej wspaniałe dziełko literackie.

Ponad dwa lata upłynęły od chwili, gdy Jan Pietrzak zaczął z powodzeniem popularyzować niezłą piosenkę własną „Za trzydzieści parę lat". Piosenka jednak ma żywot krótki i zarówno ta jak wiele innych znalazła się już dawno w lamusie. Nawet telewizja jej nie nadaje. Tymczasem „Czasópismo ZMW — Nasz Klub" dopiero w lipcowym numerze tego roku zdecydowało się wydrukować tekst i muzykę pod hasłem „Nasze piosenki". Powinszować szybkości. Do tego samego numeru dołączono w formie osobnej broszurki coś w rodzaju podręcznika, jak urządzać dożynki. Ten filuterny podręczniczek roi się od zastrzeżeń w rodzaju „powinno wynikać z miejscowej, konkretnej sytuacji", „sprawa... jak zresztą wszystkie elementy, uzależniona jest od miejscowych warunków". A mimo to autorka na 26 stronach podaje nie tylko rady słowne, ale i dokładne rysunki, gdzie kto powinien stać, chodzić i śpiewać. W sumie bardzo najwiniutkie, zgrzybiałe ze starości, na wzór kulinarnych recept pani Ćwierciakiewiczowej. A papieru tak mało, drukarniom nie starcza czasu na drukowanie klasyków...

Głośny musical „Hair" był już streszczany i opisywany w wielu naszych pismach, zawsze z (rzekomym?) obrzydzeniem. Dopiero Ryszard Stachnik w „Życiu Literackim" (nr 31) po obejrzeniu spektaklu w Belgradzie wyznaje bohatersko: „Zastanawiając się nad scenicznym kształtem tego musicalu, otoczonego pikanterią towarzyszących mu ekscesów i zakulisowych smaczków, doszedłem do wniosku, że... nie taki diabeł straszny, jak go tu ówdzie opisują". Raziło go tylko „uporczywe zestawienie idealnie nagich ciał", ale tylko dlatego, że było „nienaturalne". Wobec czego podszeptuje: „Warto byłoby zastanowić się nad odpowiednio pomyślaną inscenizacją tego utworu i na naszych scenach". Oczywiście już przy naturalnie ustawionych — lub położonych — idealnie nagich ciałach.

Jakaś niepodpisana istota płci słabej w nr 31 „Szpilek" zamieściła ani zbyt odkrywcze, ani zbyt dowcipne rady „jak zatruć urlop innym". Oto jedna z tych rad: „Adorować inne kobiety i dawać je żonie głośno za przykład wspaniałości w różnych dziedzinach". Po pierwsze — nie sami żonaci jeżdżą na urlop i to z własnymi żonami. Po drugie — także c l i c h e dawanie za przykład powoduje awanturę. Po trzecie — jeżeli chodzi o takie „zatruwanie urlopu innym" to niezadowolona będzie tylko jedna żona, a zachwyconych kilkanaście kobiet, statystycznie więc rzecz jest godna raczej pochwały a nie nagany.

Reżyser filmowy Jerzy Skolimowski, twórca głośnej swego czasu „Bariery", wpadł na krótko do kraju. Ciekawym dziennikarzom oświadczył patriotycznie, że „prawdziwą swą pracę widzi tylko w Polsce", co kilka dzienników warszawskich skrzętnie wydrukowało. Natomiast Skolimowski po kilku dniach najszybszym środkiem lokomocji wyjechał do Monachium, gdzie kręci kolejny film dla obcych producentów, tym razem zachodnioniemieckiego i amerykańskiego.

O Edwardzie Piszku, filadelfijskim „królu mrożonek", piszemy w kronice na str. 2. Tu chciałbym przytoczyć jedną z jego wypowiedzi na konferencji prasowej: „Spostrzegłem, że obsługa w warszawskim „Bristolu" polepszyła się znacznie, odkąd wszyscy pracownicy tego hotelu wiedzą, kim jestem". No cóż — nasze „Czy pan wie, kto ja jestem" zaczyna robić karierę międzynarodową.

Najpierw w obu dziennikach lubelskich mogliśmy przeczytać, że drużyna piłkarska Motoru w ramach aktywnego wypoczynku wyjechała do jednego z zaprzyjaźnionych krajów na południu. Potem w „Kurierze Lubelskim" ukazał się list czytelniczki, która spotkała tych sportowców w stolicy owego kraju na dworcu. Prawie wszyscy byli kompletnie pijani i pili dalej, rozrabiali używając łaciny, która tylko dla naszych rodaków jest zrozumiała. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że kierownictwo klubu w jakikolwiek sposób zareaguje i powiadomi opinię publiczną, kogo i jak ukarało. Wybieg jest doskonały — nie interesująca się sportem czytelniczka nie znała twarzy „sportowców" i nie podała nazwy klubu. Chociaż dla wszystkich jest jasne, o kogo chodzi — bo żaden inny klub lubelski w tym czasie w owym kraju nie przebywał.

JOD

Odpowiedzi redakcji

R. K. w Sosnowcu. Pisze Pan: „Proszę o wydrukowanie moich humoresek na łamach Waszego pisma. Jestem czynnym członkiem KKMP... Debiut... w „ITD". Łączę pozdrowienia." Łączymy pozdrowienia my również. Życzymy przyjemnych wakacji. Humoreski raczej mierne.

J. M. R. w Chełmie. „poeci prowincjonalni biedni są jak kościelna mysz / i chociaż często nazywamy ich grafomanami / przepędzamy ochoczo z zagarniętej przez nas prasy / i z zaryglowanych jak sejfy wydawnictw / oni na przekór nam wątpiącym / torują sobie drogę do ciepłych serc ogółu / słowem / którego my nie chcemy zrozumieć". No, no! W każdym razie przyczynek do artykułu „Pompowanie pisarzy".

W. P. w Lublinie. Teoria niewiele Panu pomoże, skoro wyobraźnia utkana ze stereotypów. I jakich wskazówek możemy Panu udzielić? Wyobraźnię oczyścić ze stereotypów? Sami nie wiemy, jak to się robi, toteż nikt w redakcji wiersty nie pisze. Za pozdrowienia serdecznie dziękujemy. Notabene — nie mając wrażliwości twórczej, można mieć dobrze rozwiniętą wrażliwość odtwórczą, czyli umieć głęboko przeżywać cudzą literaturę, czego życzymy z całego serca, nie tylko Panu zresztą.

J. K. w Poznaniu. Normalna, proszę Pana, sprawa w naszej praktyce redakcyjnej. Wiersze nieczytelne, bo nabazgrane jakimś potwornym maczkiem. Nie czytaliśmy przeto, rezygnując już przy pierwszym tekście. Wszystko powędrowało do kosza. Cierpliwość ludzka bowiem także ma swoje granice.

W. F. z Opola. Krótka ocena, jak Pan żąda: to nie jest poezja.

T. Z. w Gołdapi. W nadesłanych tekstach podobają nam się tylko fragmenty. Naszym zdaniem — za wcześnie myśleć o tomiku, choć pisać nadal warto. Podobał nam się też Pani list — poważny i rzeczowy. Pozostajemy z sympatią i nadzieją, że się Pani powiedzie w literackich szrankach.

T. K. w Toruniu. Niezłe to jest nawet napisane, aczkolwiek sprawy te do cna wyeksploatowała młoda polska proza. Dlatego nie jesteśmy skłonni skorzystać. Ponadto razi nas tendencja do zbytniego dopowiadania pewnych tez autorskich. Zamiast pokazywać, Pan bezpośrednio mówi. Nie jesteśmy pewni, ale może inny tekst Pański miałby u nas więcej szczęścia.

D. P. w Łodzi. Twoje myślenie o poezji mimo wszystko wydaje nam się udatniejsze od samych tekstów. Być może, tak jest na razie. Prosimy przypomnieć się redakcji, powiedzmy, za rok czy półtora, nowymi wierszami i listem o realizacji planów uczelnianych. Pozdrowienia. A w bezinteresowność ludzką należy przynajmniej wierzyć, skąd taki pesymizm w tak młodym wieku?

A. W. w Kielcach. Pańskiej „fantazji łanie" także „rozbiły się na drzewie z dwudziestego wieku". Bardzo staroświeckie ma Pan pojęcie o sztuce poetyckiej, mocno już zwiotczałe piękności chce Pan ożywiać. Na nic taka robota.

„X z Lubelskiego". Niestety, i tym razem nie skorzystamy.

I. B. w Lublinie, H. J. w Kielcach, M. T. w Sosnowcu, J. K. M. w Opolu, J. L. w Lubnikach, J. A. K. w Lublinie, T. F. w Warszawie, E. K. w Lublinie, M. K. K. w Stalowej Woli, J. S. w Katowicach — nie skorzystamy. Ponadto informujemy, że nie jesteśmy w stanie odesłać tekstów. Zwyczaj to ogólnopolski, aż dziw bierze, iż autorzy nie zdołali go jeszcze poznać.

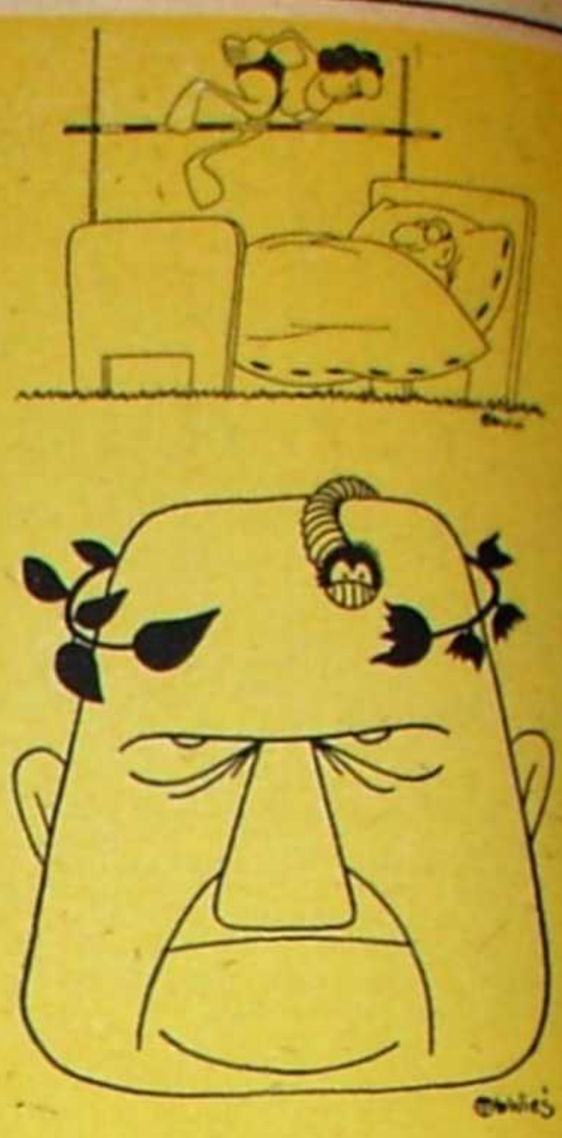

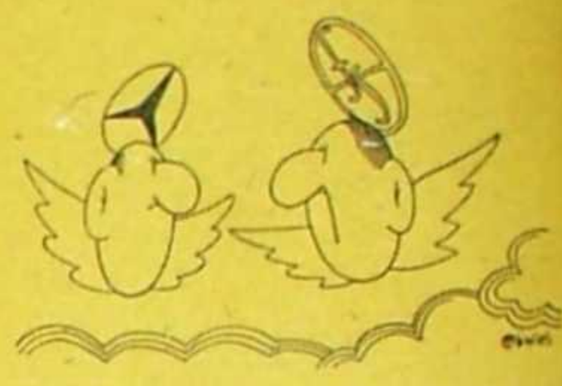

Rys. W. Fuglewicz

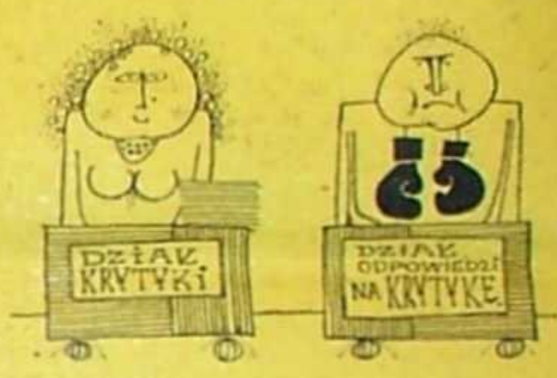

— Pańska małżonka też na wczasach?

Rys. L. Szałecki